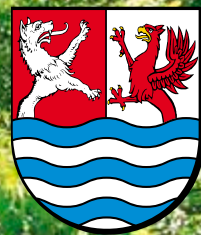


Powiat



Nr 5-6 (183-184), Maj-Czerwiec 2016
Rok XVI * ISSN 1730-7686

ŚWIDWIŃSKI

Piętnaście lat współpracy

Trochę żaloszny finał

Ślady przeszłości

Teatr środka

O albumie „Uwiecznione chwile”

Nikogo nie obchodzi

Książka o osadnikach

„Batorym” do „Hameryki”

Wieś Tworząca



15 LAT PARTNERSKIEJ WSPÓŁPRACY POWIATU SŁUPSKIEGO Z POWIATEM HERZOGTUM LAUENBURG

SŁUPSK, CZERWIEC 2016





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Siedemdziesięciolecie działalności obchodzi szkoła leśna w Warcinie - szkoła z ogromnymi tradycjami, jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza w kraju i jedna z najstarszych w Polsce. Jej dzieje datują się od sierpnia 1946 roku, od Państwowego Leśnego Ośrodka Szkoleniowego, organizującego kursy dla gajowych i leśników. Warto przypomnieć, że trzy pierwsze kursy ukończyło łącznie 201 kursantów, którzy stali się pracownikami Lasów Państwowych Okręgu Bałtyckiego w Szczecinku. Ostatni kurs trwał do września 1947 roku, a już w czerwcu zapadła

decyzja o utworzeniu w Warcinie Państwowego Gimnazjum Leśnego z 3-letnim okresem kształcenia.

W 70-letniej historii szkoły zmian było sporo. Już w 1948 roku Państwowe Gimnazjum Leśne przekształcono w Państwowe Liceum Leśne I Stopnia. W 1951 roku utworzono Technikum Leśne, następnie był Zespół Szkół Leśnych Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, Zespół Szkół Leśnych - bez nazwy w tytule resortów, do których należał, znowu było Technikum Leśne, po nim Zespół Szkół Leśnych i Ogólnokształcących, znowu Zespół Szkół Leśnych

i od 2012 roku ponownie jest Technikum Leśne.

Takie są koleje losu szkoły, która w związku ze zmieniającymi się nazwami i zakresami kształcenia miała też różne organy prowadzące, zaczynając od Ministerstwa Rolnictwa, które organizowało Państwowy Leśny Ośrodek Szkoleniowy. Był taki okres, że szkołę, poza resortami, prowadziło także Kuratorium Oświaty w Koszalinie i Słupsku, a w latach 1999 - 2008 - Starostwo Powiatowe w Słupsku.

Kiedy w 2008 roku pojawiła się szansa powrotu szkoły do resortu, samorządowe władze powiatowe nie

przeszkadzały. Choć szkoła leśna w Warcinie od kilku lat nie podlega już powiatowi, prowadzi ją Ministerstwo Środowiska, to nadal bardzo silnie związana jest z ziemią słupską i gospodarką leśną Pomorza. Nadal kształci na jej potrzeby i jako jedna z nielicznych szkół ponadgimnazjalnych nie ma problemów z naborem młodzieży. Jest też jedną z nielicznych szkół z internatem.

Serdecznie gratuluję szkole wspaniałych osiągnięć dydaktycznych i wychowawczych. Przez te wszystkie lata wypuściła prawie 4 800 absolwentów, z których bardzo wielu podjęło studia.

W numerze:

- 2 Absolutorium dla Zarządu i projekty oświatowe
- 2 W czołówce rankingu
- 3 Konwent z wicewojewodą
- 3 Spotkanie sottysów
- 4 Rozpoczęcie budowy tarczy
- 4 Ćwiczenia „Obronnik 2016”
- 4 Najlepsi w plebiscycie
- 5 Olimpiada podsumowana
- 5 Nagrodzona publikacja
- 6 Piętnaście lat współpracy



W dniach 3-5 czerwca w powiecie słupskim przebywała trzydziestoosobowa delegacja z partnerskiego powiatu Herzogtum Lauenburg z Niemiec. Powodem wizyty były oficjalne uroczystości z okazji 15-lecia współpracy obu powiatów.

- 7 Wspólnie patrzeć w przyszłość
- 9 Nasze partnerstwo musi być kontynuowane

10 Trochę żałosny finał



Co budziło jeszcze trochę żałosne odczucia? Honorowanie medalami i dyplomami prawie samych VIP-ów, instytucji i placówek. Im też dedykowano gros ciepłych słów, zapominając o pochyleniu się nad żywą legendą Jubilatą.

- 12 Krajoznawstwo to nie tylko idea
- 14 Chciałem zmieniać rolnictwo
- 15 Przeżyć sto i więcej lat
- 16 Ślady przeszłości



Gać to wieś urokliwa, ale smutna. Tylko w maju pod kapliczką zbierają się wszyscy mieszkańcy,

śpiewając z pobożnością pieśni maryjne.

- 17 Kaszubskie róże igłą malowane
- 20 Żywoć górala niezwykłego
- 21 Książka o osadnikach



Książka powstawała od września 2015 roku do marca 2016 roku. Oparta została na wywiadzie przeprowadzonym wśród mieszkańców - powojennych osadników.

22 Teatr środka



Moja przygoda z teatrem rozpoczęła się jeszcze w podstawówce. Miałem

fantastyczną polonistkę - panią Barbarę Bierówkę, która angażowała mnie do wszystkich działań sceniczno-estradowych w naszej szkole..

- 25 „Ulica” w Nowym Teatrze
- 26 Na początku drogi
- 28 Świadek historii
- 29 Osobiście. O albumie „Uwieczone chwile”



Kolejny album Jana Maziejuka pod tytułem „Uwieczone chwile” jest osobistym podsumowaniem dorobku autora. Osobistym w każdym słowa znaczeniu.

32 Nikogo nie obchodzi

W kuferku po sztukach mam kilka przyznanych memu ojcu odznaczeń, którymi Ojczyzna dziękowała swym żołnierzom za udział



w walkach. Ojczyzna bywa chimeryczna. Owe blaszki nic nikogo nie obchodzą, bo peerełowskie honory raczej należy schować.

34 „Batorym” do „Hameryki”



Kiedy wyprawiali się za Wielką Wodę żegnała ich cała wioska, zanoszono modlitwy do nieba. Podróż obfitowała w wiele przygód. Szstorm trwał całą noc i następny dzień.

- 36 Wycieczkowcem dookoła Włoch
- 38 Łódzki suplement
- 39 Czy można wyjść i nie zapać?

Absolutorium dla Zarządu i projekty oświatowe

Na sesji 21 czerwca radni zdecydowaną większością głosów udzielili absolutorium Zarządowi Powiatu Słupskiego. Tylko troje radnych było przeciwnych, a jeden wstrzymał się od głosu.

Przed głosowaniem Rada podjęła uchwałę o zatwierdzeniu sprawozdania finansowego z wykonania budżetu powiatu w 2015 roku. Komisja Rewizyjna pozytywnie odniosła się do dochodów, które wykonano w 99,9 proc., a wydatki w 96,9 proc. Zaplanowano wydać 84 793 049 zł a wydano 82 32 378,18 zł. Inwestycje zrealizowano w 97,7 proc, przeznaczając na nie ponad 2 mln zł. Sprawozdanie z wykonania budżetu pozytywnie zaopiniowała też Regionalna Izba Obrachunkowa w Gdańsku. Po głosowaniu starosta Zdzisław Kołodziejcki podziękował radnym za udzielone absolutorium i słowa uznania skierował do pracowników starostwa oraz jednostek pod-

ległych za skutecznie zrealizowane zadania.

Na sesji podjęto również inne ważne dla powiatu uchwały, m.in. w sprawie przystąpienia powiatu do wspólnej z gminami realizacji projektu pn. „Pomorskie trasy rowerowe na obszarze ziemi słupskiej i lęborskiej” w ramach przedsięwzięcia „Pomorskie Trasy Rowerowe R-10”. Międzynarodowa trasa rowerowa R-10 ma w Polsce przebiegać przez trzy województwa: warmińsko-mazurskie, pomorskie i zachodniopomorskie. W związku z tym na ziemi słupskiej i lęborskiej inwestycja będzie realizowana w partnerstwie z gminami: Główczyce, Słupsk (wiejską i miejską), Ustka (miejską i wiejską) oraz Wicko i Łeba w powiecie lęborskim. Jej koszt, który w większości będzie finansowany ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014 - 2020 wyniesie 20 mln zł; 6 mln zł stanowić będzie wkład własny partnerów.

Podjęto również m.in. uchwały - w sprawie przystąpienia powiatu do realizacji projektu pn. „Podniesienie jakości szkolnictwa zawodowego” oraz projektu „Jakość edukacji ogólnej” - oba planowane również w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego. Wartość pierwszego to ponad 1,9 mln zł, w tym 1,4 mln zł ma być przeznaczonych na utworzenie pracowni gastronomicznej w ZSA w Słupsku i jej wyposażenie oraz wyposażenie innych szkol-

nych pracowni, a także pracowni hotelarskiej w ZSOiT w Ustce i rozwój kształcenia ustawicznego w obu tych szkołach. Wartość drugiego to prawie 1.9 mln i obejmuje on wsparcie dla uczniów i organizowanych dla nich zajęć, w tym pozalekcyjnych, wsparcie doskonalenia zawodowego nauczycieli, oraz także zakup wyposażenia i doposażenia bazy dydaktycznej szkół. Tak w przypadku pierwszego, jak i drugiego projektu wkład własny powiatu nie przekroczy 15 procent całego ich kosztu. (P.L.,Z)



Fot. J. Maziejuk



Fot. Archiwum ZPP

W czołówce rankingu

Powiat słupski znalazł się na drugim miejscu w kategorii powiatów od 60 do 120 tys. mieszkańców w Ogólnopolskim Rankingu Gmin i Powiatów ogłoszonym przez Związek Powiatów Polskich.

- Wysoką, drugą pozycję powiatu słupskiego w rankingu Związku Powiatów Polskich za 2015 rok uważam za duży sukces - powiedział Zdzisław Kołodziejcki, starosta słupski po odebraniu wyróżnienia. - Chciałbym bardzo podziękować

pracownikom starostwa i jednostek organizacyjnych, których dobra praca przekłada się na przyznawanie punktów w poszczególnych kategoriach, a to pozwoliło na osiągnięcie tak dobrego miejsca. Dziękuję również radnym i członkom zarządu powiatu. Bez przygotowania i uchwalenia budżetu, który obejmował działania proinwestycyjne i prorozwojowe również nie osiągnęlibyśmy tak dobrego wyniku.

Komisja przyznająca punkty bierze pod uwagę ilość środków pozyskanych z funduszy zewnętrznych i krajowych. Wysoko punktowane są działania upowszechniające rozwiązania ekoenergetyczne i proekologiczne. Wpływ na wynik końcowy miały również działania rozwijające społeczeństwo informacyjne, wdrożenie Programu Bezpieczny Urząd ZPP, ilość środków wydatkowanych na zadania publiczne realizowa-

ne przez organizacje pozarządowe i działania promocyjne. Sporo punktów powiat słupski otrzymał m.in. za różnorodność konkursów adresowanych do samorządów gminnych i uczniów szkół oraz za imprezy pielęgnujące lokalne zwyczaje.

Wyżej w rankingu znalazł się tylko powiat tomaszowski, zaś trzecie miejsce zajął powiat piotrkowski. Ogólnopolski Ranking Związku Powiatów Polskich to jedyny w Polsce ranking samorządów zarządzany na bieżąco przez ekspertów w trybie on-line przez cały rok.

Samorządy oceniane są za promocję powiatu, posiadanie certyfikatów ISO, działania proinwestycyjne, poprawę jakości obsługi mieszkańców, rozwój systemu informacyjnego. Mieszkańcy mogą również wnieść swój wkład, zgłaszając instalacje odnawialnych źródeł energii: słonecznej, geotermalnej, wodnej, wiatru i z biomasy. (P.L.)



Fot. E. Guzińska / Gmina Słupsk

Konwent z wicewojewodą

19 maja w Strzelinku w Dolinie Charlotty odbył się Konwent Wójtów i Burmistrzów Powiatu Słupskiego. W obradach uczestniczył wicewojewoda pomorski – Mariusz Łuczyk.

Rozmawiano o rekompensatach za budowę tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Zastępca prezydenta Słupska - Marek Biernacki przedstawił historię prowadzonych w tej sprawie rozmów i negocjacji z administracją rządową. Wójt gminy Słupsk - Barbara Dykier omówiła raport, z którego jednoznacznie wynika, iż region słupski straci na instalacji tarczy. Zdzisław Kołodziejki - starosta słupski przypomniał

postulaty, z którymi samorządowcy od dłuższego czasu zwracają się do rządu.

Wicewojewoda Mariusz Łuczyk zwrócił samorządowcom uwagę, że sprawami rekompensat za tarczę zajmuje się obecnie Sejmowa Komisja Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej oraz Ministerstwo Obrony Narodowej. Z wcześniejszych deklaracji Antoniego Macierewicz - ministra MON wynika, iż konkretna odpowiedź w tej sprawie ma zostać udzielona po szczycie NATO w Warszawie, a więc po 9 lipca br.

Wicewojewoda odpowiadał na pytania samorządowców dotyczące infrastruktury drogowej, w tym dróg ekspres-

sowych - S6 i S11. Na obawy przesunięcia w czasie budowy drogi ekspresowej S6 wicewojewoda przedstawił harmonogram, z którego wynika, że planowany termin oddania do ruchu tej drogi to wrzesień 2020 roku. Natomiast w kwestii drogi S11, łączącej Koszalin m.in. z Poznaniem, wicewojewoda M. Łuczyk poinformował, że „choć zadanie to nie posiada uzgodnionego jeszcze przez ministerstwo programu inwestycji, to jednak pierwsze środki finansowe powinny się pojawić na nie w trzecim lub czwartym kwartale 2017 roku”.

Wicewojewoda zadeklarował poparcie dla oczekiwań samorządowców związanych z przebudową tej drogi. Zadeklarował również wsparcie dla pla-

nowanych inwestycji na liniach kolejowych Gdynia-Słupsk (202) oraz Ustka-Szczecinek (405). W pierwszym przypadku chodzi o przyjęcie wariantu dwutorowego na całej długości linii, w drugim - o pełną elektryfikację.

W obecności przedstawicieli Urzędu Morskiego w Słupsku dyskutowano jeszcze o przebudowie Portu Morskiego w Ustce. Ustalono, że wspólnie z samorządami opracowana zostanie koncepcja jego przebudowy.

Wicewojewoda M. Łuczyk ze zrozumieniem przyjął też informację o niedostatecznym finansowaniu przez Urząd Wojewódzki Powiatowego Zespołu do Spraw Orzekania o Niepełnosprawności w Słupsku. Po przychylnych słowa starosty Z. Kołodziejki, że rozumie on problemy nurtujące samorządowców powiatu słupskiego, zapowiedział pełną dostępność i poinformował o cyklicznych dyżurach w słupskiej delegaturze Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego.

Wójtowie i burmistrzowie dyskutowali jeszcze z przedstawicielami Słupska o wspólnej polityce przestrzennej miasta i podmiejskich gmin oraz zagospodarowaniu tzw. „Górki Narciarza” w Słupsku, której właścicielem jest samorząd powiatowy. (P.L.)

Spotkanie sołtysów

W słupskim starostwie odbyło się spotkanie sołtysów powiatu słupskiego. Połączono je ze szkoleniem na temat funduszu sołectkiego.

Było to drugie spotkanie zorganizowane w tej kadencji samorządu przez słupskie starostwo. Sołtysów zaproszono do starostwa w czwartek, 9 czerwca. Mogli wysłuchać wystąpień dotyczących funkcjonowania sołectw. Mecenasek Piotr Koźmiński omówił też szczegółowo temat funduszu sołectkiego.



Fot. J. Maziejuk

W powiecie słupskim na dziewięć wiejskich jednostek administracyjnych fundusz sołectki wyodrębniło w swoich budżetach siedem - gminy: Ust-

ka, Słupsk, Dębica Kaszubska, Damnica, Potęgowo, Kobylnica i Kępcice. O przeznaczeniu środków decydują sami mieszkańcy wsi na zebraniach wiejskich.

Spotkanie w słupskim starostwie było również okazją do wymiany poglądów i dobrych praktyk związanych z wykonywaniem obowiązków sołtysa. (P.L.)

Rozpoczęcie budowy tarczy

W piątek, 13 maja br. oficjalnie rozpoczęto budowę tarczy antyrakietowej w Redzikowie.

Do Redzikowa przyjechał prezydent RP Andrzej Duda, a

także Antoni Macierewicz - minister obrony narodowej i Witold Waszczykowski - minister spraw zagranicznych. Przybyli też przedstawiciele administracji Stanów Zjednoczonych

z Robertem Work - zastępcą sekretarza obrony. Symbolicznie wbito szpadle pod budowę nowoczesnego systemu obronnego.

Świadcami tego wydarzenia byli zaproszeni również do Redzikowa: Zdzisław Koło-

dziejski - starosta słupski, Rafał Konon - wicestarosta, Jan Olech - przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego, Barbara Dykier - wójt gminy Słupsk oraz przedstawiciele władz miejskich Słupska z prezydentem Robertem Biedroniem. (A.K.)

Ćwiczenia „Obronnik 2016”

23 maja w Głównych odbyły się powiatowe ćwiczenia pod kryptonimem „Obronnik 2016”.

Celem ćwiczeń było praktyczne sprawdzenie przyjętych założeń dotyczących funkcjonowania administracji samorządowej podczas wykonywania zadań z zakresu obrony i zarządzania kryzysowego w warunkach zewnętrznego zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Ćwiczeniami kierował starosta słupski Zdzisław Kołodziejcki, a brali w nich udział pracownicy Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Obronności Starostwa Powiatowego, Urzędów Gmin w Głównych, Damnicy i Potęgowie oraz specjaliści z Komendy Miejskiej Policji, Ko-

mendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej, Powiatowej Stacja Sanitarно-Epidemiologicznej, Powiatowego Inspektoratu Weterynarii i Stacji Pogotowia Ratunkowego w Słupsku oraz I Lęborskiego Batalionu Zmechanizowanego i Akademii Pomorskiej w Słupsku.

Jako obserwatorów zaproszono przedstawicieli wszystkich gmin z powiatu, które w przyszłości również organizować będą podobne ćwiczenia. Te przeprowadzone w Głównych sprawdziły stan przygotowania służb na wypadek zatrucia ujęcia wody i całego wodociągu oraz podłożenia niezidentyfikowanego ładunku w jednym z budynków użyteczności publicznej.



Fot. Radio Koszalin / MATY GŁÓWCZYCE

Były to pierwsze tego typu ćwiczenia organizowane na terenie powiatu. Ich uczestnicy mogli w sposób praktyczny prze-

ćwiczyć działania wymagające współdziałania administracji samorządowej ze służbami i inspekcjami specjalistycznymi. (M.K.)



Fot. J. Maziejuk

Najlepsi w plebiscycie

„Głos Pomorza” zorganizował po raz siódmy plebiscyt Hipokrates, w którym nagrodzono najlepszych lekarzy, pielęgniarki, przychodnie i gabinety lekarskie.

Plebiscyt miał wyłonić Najpopularniejszego Lekarza, Najpopularniejszą Pielęgniarkę i Położną, Przychodnię Przyja-

zną Pacjentom i Najpopularniejszy Gabinet Stomatologiczny. Tegoroczny prowadzony był dwuetapowo. W pierwszym etapie czytelnicy oddawali głosy na swoich kandydatów. W drugim - kapituła składająca się z przedstawicieli: Delegatury Narodowego Funduszu Zdrowia, Starostwa Powiatowego, Urzędu Miejskiego w Słupsku, Okręgo-

wej Izby Pielęgniarek i Położnych oraz organizatora plebiscytu wytypowała kandydatów do poszczególnych tytułów.

Za Najpopularniejszego Lekarza czytelnicy uznali dr. hab. nauk medycznych Zorana Stojceva z Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej VESALIUS w Słupsku. Tytuł Najpopularniejszej Pielęgniarki uzyskała Kamila Jesion z Niepublicznego ZOZ „Lekarz

Domowy” w Słupsku, zaś za Przychodnię Najbardziej Przyjazną Pacjentom uznano Centrum Rehabilitacji AVENIR w Słupsku.

Najpopularniejszym Gabinetem Stomatologicznym został gabinet Sylwii i Marcina Nyk ze Słupska.

Lekarzem Roku 2016 został Zoran Stojcev - chirurg onkolog, tytuł Pielęgniarki Roku 2016 zdobyła Joanna Buryło z Niepublicznego ZOZ w Kobylnicy, a Przechodnią Roku zostało Centrum Zdrowia Salus.

Dodatkowe specjalne wyróżnienie kapituła plebiscytu przyznała Lidii Kopkowskiej - lekarzowi rodzinnemu z Samodzielnego Publicznego Miejskiego ZOZ w Słupsku.

Wręczenie nagród, statuetek i listów gratulacyjnych odbyło się podczas uroczystej gali w restauracji Anna de Croy w Słupsku. (D.R.)

Olimpiada podsumowana

W słupskim starostwie podsumowano XVII Powiatową Olimpiadę Dzieci i Młodzieży Szkół Podstawowych i Gimnazjalnych. Młodzież szkół ponadgimnazjalnych uczestniczyła w Miejskiej Olimpiadzie prowadzonej w Słupsku.

W olimpiadzie wzięli udział uczniowie z wszystkich szkół powiatu. Przeprowadził ją wyłoniony w drodze konkursu Słupski Szkolny Związek Sportowy. W klasyfikacji dziewcząt szkół podstawowych pierwsze miejsce zajęła Szkoła Podstawowa w Główczytach, drugie - Szkoła Podstawowa nr 1 w Ustce, a trzecie - Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce. W klasyfikacji chłopców najwięcej punktów zdobyła Szkoła Podstawowa nr 1 w Ustce, następnie Szkoła Podstawowa w Łupawie i Szkoła Podstawowa

w Kępicach. W klasyfikacji generalnej szkół podstawowych zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 1 w Ustce przed Szkołą Podstawową w Kępicach i Szkołą Podstawową w Główczytach.

W klasyfikacji dziewcząt gimnazjów pierwsze miejsce zajęło Społeczne Gimnazjum UTO w Ustce, drugie - Gimnazjum w Potęgowie, a trzecie - Gimnazjum w Kobylnicy. W klasyfikacji chłopców najwięcej punktów zebrało Gimnazjum UTO w Ustce, następnie Gimnazjum w Kobylnicy i Gimnazjum w Pobłociu. W klasyfikacji generalnej gimnazjów zwyciężyło Społeczne Gimnazjum UTO w Ustce przed Gimnazjum w Ustce i Gimnazjum w Smołdzinie.

W klasyfikacji gmin zwyciężyło miasto Ustka przed gminą Główczyce. Trzecie miejsce za-



Fot. J. Maziejuk

jęły ex aequo gminy: Kępice i Słupsk. Zwycięskie szkoły i gminy uhonorowano pucharami, dyplomami oraz nagrodami. Olimpiadę przeprowadzono w kilkunastu dyscyplinach sportowych. Finansowo wsparły ją po raz kolejny samorządy gminne z powiatu.

Młodym sportowcom ze zwycięskich szkół, ich trenerom oraz zwycięskim, najbardziej usportowionym gminom gratulowali, puchary i dyplomy wręczyli starosta Zdzisław Kłodziejski oraz wiceprzewodniczący Rady Powiatu - Wojciech Krasucki. (T.J.)



Fot. J. Maziejuk

Nagrodzona publikacja

Powiat słupski zajął drugie miejsce w konkursie zorganizowanym przez Pomorską Regionalną Organizację Turystyczną w Gdańsku na wsparcie wydawnictw promocyjnych, przygotowanych w bieżącym roku.

Do konkursu zgłoszonych zostało dwanaście wydawnictw. Komisja zdecydowała, że powiat słupski otrzyma drugie miejsce i nagrodę w wysokości czterech tysięcy złotych na druk folderu pt. „Smacznie, zdrowo, kolorowo - wieś powia-



tu słupskiego zaprasza". Przedstawia on różnorodne i najbardziej atrakcyjne gospodarstwa agroturystyczne, kwatery i inne obiekty noclegowe na terenach wiejskich powiatu słupskiego, w których warto się zatrzymać na dłużej, które są nie tylko doskonałym miejscem do wypoczynku, ale stanowią też bazę wypadową nad morze, czy w inne okolice powiatu. W publikacji uwzględnione zostały również gospodarstwa usługowe z ich ofertą warsztatów rękodzielniczo artystycznego i produktów ekologicznych. Dodatkowo przedstawiono w dużym skró-

cie najważniejsze atrakcje turystyczne powiatu, szlaki rowerowe, piesze, kajakowe, kalendarz imprez folklorystycznych i kuchnię regionu słupskiego.

Zgodnie z tytułem, nagrodzona publikacja prezentuje wieś powiatu słupskiego, na której można smacznie zjeść, zdrowo wypocząć, a także „kolorowo” spędzić czas. Pojęcie „kolorowo” wskazuje na różnorodną ofertę dla turystów, na możliwość wypoczynku na łonie natury pośród dziewiczych krajobrazów, na wypoczynek aktywny i kreatywny. (A.K.)

Piętnaście lat współpracy

W dniach 3-5 czerwca w powiecie słupskim przebywała trzydziestoosobowa delegacja z partnerskiego powiatu Herzogtum Lauenburg z Niemiec. Powodem wizyty były oficjalne uroczystości z okazji 15-lecia współpracy obu powiatów, która rozpoczęła się w maju 2001 roku.

W oficjalnych uroczystościach, 4 czerwca w słupskim starostwie udział wzięły władze obu powiatów, radni, kierownicy powiatowych jednostek oraz przedstawiciele współpracujących ze sobą środowisk i organizacji młodzieżowych. Uroczyste spotkanie, będące jednocześnie podsumowaniem dotychczasowej współpracy, było najważniejszym wydarzeniem w czasie pobytu niemieckiej delegacji w powiecie słupskim. Starosta słupski Zdzisław Kołodziejcki w swoim wystąpieniu podkreślił duże znaczenie współpracy z niemieckim partnerem. - Dzięki nawiązanej współpracy w minionych piętnastu latach wspólnie został zbudowany trwały most między partnerskimi powiatami, który z upływem czasu przekracza coraz więcej mieszkańców naszych powiatów, a partnerska współpraca nie opierała się jedynie na wymianie delegacji oficjalnych, lecz na faktycznej współpracy różnych grup zawodowych i młodzieży z obu powiatów - powiedział m.in. starosta słupski.

Meinhard Füllner - przewodniczący Rady Powiatu Herzogtum Lauenburg w swojej refleksji na temat partnerstwa wspominał o śp. Piotrze Mańce - jako głównym inicjatorze współpracy polsko-niemieckiej. Według M. Füllnera partnerstwo między powiatami miało ogromny wpływ na wizerunek Polski w Niemczech. Podczas wielu wizyt w Polsce spotykał się tylko z sympatią i ogromną gościnnością mieszkańców powiatu słupskiego.

Z kolei starosta powiatu Herzogtum Lauenburg dr Christoph Mager (swoją funkcję pełni od maja ub. roku) zapewnił, iż współpraca między powiatami będzie kontynuowana poprzez wymianę mieszkańców, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci i młodzieży.

O współpracy pszczelarzy mówił Zbigniew Wiąckiewicz z Rejonowego Koła Pszczelarzy w Słupsku, a o współpracy lekarzy psychiatrów i ich podopiecznych - Konrad Kiersnowski z Zakładu Opiekuńczo-Leczniczno-Psychiatrycznego w Kobylnicy. Paweł

Jaszek, uczeń Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku omówił krótko zrealizowane w ostatnich pięciu latach projekty obejmujące wymianę młodzieży. Podsumowanie 15-letniej współpracy zakończyła prezentacja projektu „Giełda partnerów - Spójrz w przyszłość”, wspólnie realizowana od trzech lat. Jego celem jest pomoc w nawiązywaniu kontaktów i związywaniu nowych partnerstw pomiędzy organi-

zacjami o różnym profilu działalności.

Delegacja z Niemiec podczas pobytu w powiecie słupskim odwiedziła dawne poniemieckie pałace w Damnicy i Warcinie. W tym ostatnim zaprezentowano niemieckim partnerom potencjał gospodarczy i turystyczny powiatu słupskiego. Zrobili to Bartosz Światała z Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. w Słupsku i Joanna Orłowska - reprezentu-



jąca powiat słupski w Pomorskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej w Gdańsku.

Na pamiątkę spotkania w parku, w Warcinie posadzono dąb, który symbolizować będzie kontynuowane partnerstwo. Należy przypomnieć, że jeden tam już rośnie - posadzony na pięciolecie współpracy.

Główne cele, jakie partnerskie powiaty wyznaczyły sobie na najbliższe lata, to: polsko-niemiecka wymiana młodzieży i multiplikatorów, w tym w dziedzinie sportu, zwiększenie liczby zawiązanych partnerstw między organizacjami o różnym profilu działalności oraz rozszerzenie współpracy w zakresie wymiany doświadczeń między przedsiębiorcami.

Anna Cz. von Krasowicki, Słupsk



Fot. A. Cz. von Krasowicki

Wspólnie patrzeć w przyszłość

Wystąpienie starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego na uroczystości z okazji piętnastolecia partnerskiej współpracy powiatu słupskiego z powiatem Herzogtum Lauenburg.

Witam wszystkich przybyłych na dzisiejsze uroczystości. Witam serdecznie delegację naszego partnerskiego powiatu Herzogtum Lauenburg ze starostą doktorem Christopphem Magerem i przewodniczącym Rady Powiatu Meinhardem Füllnerem. Równie serdecznie witam radnych powiatu słupskiego, kierowników jednostek powiatowych oraz zaproszonych gości. Witam raz jeszcze wszystkich bardzo serdecznie!

Spotykamy się dzisiaj, aby świętować piętnaście lat współpracy powiatu słupskiego i powiatu Herzogtum Lauenburg. Piętnaście lat temu, 11 maja 2001 roku ówczesny starosta słupski - Stanisław Kądziera i przewodniczący Rady Powiatu - Tomasz Wszółkowski oraz starosta - Günter Kropelin i przewodniczący niemieckiego powiatu - Helga Hinz podpisali umowę o współpracy pomiędzy naszymi powiatami. Zakładała ona, iż „partnerstwo to przyczyni się do rozwoju przyjaźni pomiędzy dwoma narodami, a tym samym służyć będzie pokojowi w Europie i na świecie”. Ustaliliśmy wówczas, że nasza współpraca będzie realizowana w zakresie kształcenia dzieci i młodzieży, ochrony zdrowia, gospodarki, sportu, turystyki i kultury.

Minęło piętnaście lat i przyszedł czas na refleksję, aby odpowiedzieć sobie na pytanie: czy dobrze wykorzystaliśmy te lata? Czy nawiązana współpraca przyniosła nam obopólne korzyści? Podpisując umowę dzieliła nas jeszcze granica polsko-niemiecka, dzisiaj jesteśmy razem, na dobre i złe w Unii Europejskiej. Od 2001 roku nasze partnerstwo rozwijało się po-



Fot. J. Maziejuk

przez regularne wizyty przedstawicieli powiatów i liczne projekty. W naszej pamięci zapisały się m.in. takie wydarzenia, jak „Dni Powiatu Herzogtum Lauenburg w powiecie słupskim” w roku 2002, prezentacja powiatu słupskiego w Ratzeburgu w 2003 roku, uroczystości 5 i 10-lecia współpracy obchodzonej w 2006 i 2011 roku, czy „Lato kultury nad kanałem” w Ratzeburgu w 2008 roku. To tylko kilka przykładów naszej współpracy.

Pomimo zmian władz samorządowych w obu powiatach, współpraca rozwijała się z sukcesem. Przypomnę, że o współpracy między naszymi powiatami decydowali do roku 2002 - starosta Stanisław Kądziera, w latach 2002 - 2006 i od 2014 roku - starosta Zdzisław Kołodziejski, a w latach 2006 - 2014 starosta Sławomir Ziemianowicz, oraz przewodniczący rady powiatu: Tomasz Wszółkowski, Janusz Grzybowski, Ryszard Stus, od 2014 roku - Jan Olech. W powiecie partnerskim naszą współpracę wspierali starostowie: Günter Kropelin, w latach 2002 - 2015 Gerd Kraemmer. Od 2015 roku wspiera ją dr Christoph Mager. Meinhard Füllner. - przewodniczący Rady Powiatu jest od początku jej powstania.

W tym miejscu chciałbym wymienić jeszcze jedną ważną osobę, jest nią śp. Piotr Mańka - inicjator współpracy powiatu słupskiego z powiatem Herzogtum Lauenburg. Podjął on wiele



starań na rzecz pojednania polsko-niemieckiego, uczył nas obiektywnego spojrzenia na wspólną, czasami trudną historię i szacunku do niej.

Jestem przekonany, że wspólnymi siłami zbudowaliśmy trwały most między naszymi powiatami i z upływem czasu most ten przekraczało coraz więcej mieszkańców naszych powiatów. Od wielu lat współpracują ze sobą pszczelarze, lekarze-psykiatry i ich podopieczni, twórcy kultury, strażacy, w tym młodzieżowe drużyny pożarnicze.

Szczególne znaczenie w naszym partnerstwie miała współpraca szkół i organizacji młodzieżowych, która daje nadzieję na długotrwałe kontakty partnerskie. Rozwijana współpraca szkół przyczynia się do przelamywania stereotypów panujących w naszych narodach, poznania języka swoich sąsiadów i znalezienia nowych przyjaciół. Dobrym przykładem tej współpracy są projekty realizowane przez Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce i Lauenburgische Gelehrtenschule w Ratzeburgu, a także Młodzieżowy Klub Ekologiczny działający przy Zespole Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku i Centrum Młodzieży z Ratzeburga oraz Buechen.

Mówiąc o współpracy młodzieży należy wspomnieć też projekt „Zabawa w miasto - dzieci budują swój świat” - realizowany przez organizację Kreisjungedring, w którym biorą udział dzieci z powiatu słupskiego. Bardzo cieszymy się z ich obecności w tym projekcie.

W naszej współpracy nie zapominaliśmy też o kontaktach gospodarczych, spotykali się przedsiębiorcy, rolnicy i wymieniali doświadczeniami.

Na uwagę zasługuje również przeprowadzany od niedawna wspólny projekt pn. „Giełda partnerów wymian międzynarodowych - Spójrz w przyszłość”. Jego celem jest zawiązanie się partnerstw między instytucjami o podobnym profilu działania. Podczas tegorocznej edycji projektu zawiązały się dwa partnerstwa pomiędzy młodzieżowymi drużynami strażackimi z Włynkowa i Nusse oraz pomiędzy szkołami z Moelln i Redzikowa. Wraz z tym projektem chcemy wspólnie „patrzeć w przyszłość”, gdyż w naszych powiatach tkwi ogromny potencjał społeczny.

W ostatnich piętnastu latach podjęliśmy wiele dobrych inicjatyw, a stosunki między naszymi powiatami i kontakty mieszkańców naszych powiatów się umocniły. Kiedy dziś patrzymy na obecną sytuację w Europie i dostrzegamy w niej przede wszystkim wielką politykę, w której nie brakuje poważnych problemów, nasze partnerskie powiaty tworzą podwaliny do dalszego łączenia narodów.

Europa ma przyszłość tylko wtedy, kiedy jej państwa pokonają dzielące ich przeszkody. My, w naszych małych ojczyznach mamy za zadanie rozpowszechnić zrozumienie i porozumienie, umożliwiając tym samym budowę nowych mostów do naszego partnerstwa.

Życzę nam wszystkim sukcesów w tym wspólnym działaniu, w kolejnych latach naszego partnerstwa. W przyszłości chcemy wszystkie nasze siły skupić również na pogłębianiu przyjaźni i współpracy między naszymi społecznościami. Wierzę, że tak jak dotychczas, wspólnie będziemy „patrzeć w przyszłość”.



Nasze partnerstwo musi być kontynuowane

Wystąpienie Meinharda Füllnera – przewodniczącego Rady Powiatu Herzogtum Lauenburg

W lipcu 2000 roku podjęte zostały pierwsze decyzje rady powiatu i odbyły się pierwsze rozmowy na temat utworzenia partnerstwa powiatu Herzogtum Lauenburg z powiatem słupskim. Rok później, w 2001, w odpowiedzi na wizytę ówczesnego przewodniczącego rady Tomasza Wszółkowskiego i starosty Stanisława Kądzieli, przewodnicząca rady - Helga Hinz i starosta Günter Kröpelin podpisali podczas wizyty w Słupsku umowę o przyszłej współpracy obu powiatów. Umowę podpisano na trzy lata jeszcze przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Był to ważny powód w przededniu tego procesu, aby wspierać proces akcesyjny naszych wschodnich sąsiadów. Pozostałe cele partnerstwa to była i jest

współpraca oraz wymiana doświadczeń w dziedzinie pracy z młodzieżą, rozwoju gospodarki, turystyki oraz sportu i kultury. W szczególności chodziło o kontakty między naszymi społeczeństwami, na tle wspólnej historii. Nasze powiaty miały dawać impulsy i być pośrednikiem w kontaktach dla stowarzyszeń, organizacji, szkół i instytucji, gdyż partnerstwa mogą osiągnąć sukces tylko wtedy, kiedy są tworzone przez wielu ludzi.

I, jak z naszej perspektywy dzisiaj, piętnaście lat po utworzeniu partnerstwa, oceniamy miniony okres? Oba powiaty nigdy nie zrezygnowały z myśli przewodnich i celów. Współpraca przebiegała na dwóch płaszczyznach. Pierwsza to oficjalne spotkania przedstawicieli urzędów, które



Fot. A. Cz. von Krasowicki



odbywały się regularnie raz lub dwa razy w roku. Informowaliśmy się na nich o sytuacji powiatów i zmianach, jakie u nas zachodziły. Jednocześnie zwracaliśmy przy tym zawsze uwagę na to, aby podczas tych naszych spotkań, za każdym razem wyznaczyć sobie temat wizyty, który był potrzebny i wnosił coś nowego do naszego partnerstwa. Tak, aby nasze spotkania nie były jedynie podróżami o charakterze turystycznym. Bez względu na to, jakie osoby brały i biorą udział w naszych spotkaniach, na tej politycznej i instytucjonalnej płaszczyźnie, nasze partnerstwo dlatego jest tak udane, gdyż tworzyli je ludzie zawsze o dużym zaufaniu i cieszący się sympatią. Druga płaszczyzna to trwałe kontakty między mieszkańcami i organizacjami z naszych partnerskich powiatów. Przykładem są współpracujące szkoły, kilka grup strażaków, praca z młodzieżą, udział młodzieży w projekcie „Zabawa w miasto” w Mölln, kontakty pszczelarzy oraz grupy lekarzy psychiatrów. Wszystkie te kontakty są ważnymi częściami składowymi porozumienia między narodami w Europie.



Fot. J. Maziejuk

go. Oprócz celów interpersonalnych i łączących narody, potencjał rozwojowy tkwi w projektach z zakresu turystyki, kultury i współpracy gospodarczej.

A jakie jest moje osobiste wrażenie o partnerstwie, które podzielają ze mną również inne osoby? Nasze partnerstwo miało ogromny wpływ na wizerunek Polski - spojrzenie na ludzi i kraj. To, co dzieje się w Polsce, odbieram bardziej intensywnie. Jednak na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze: w odniesieniu do naszego partnerskiego powiatu słupskiego. Powiat, w którym z wizyty na wizytę czuje się, jak wszystko idzie do przodu, rozwija się, co można zauważyć zarówno w obszarach prywatnych, jak i w infrastrukturze publicznej i gospodarce. Niebieskie unijne wywieszki są świadectwem na dobrą decyzję włączenia do Europy. Od ludzi, których się w powiecie słupskim spotyka, emanuje sympatia i ogromna gościnność. Nigdy nie poczułem tu niechęci czy nienawiści. A młodzi ludzie przyjeżdżają do Niemiec chętnie i - jak dowiedziałem się w wielu rozmowach z nimi - z Europą łączą oni wiele nadziei na przyszłość.

Po drugie: odbieram Polskę poprzez wydarzenia w Warszawie. Na tej płaszczyźnie są jeszcze (lub powróciły) liczne zastrzeżenia w stosunku do Europy i Niemiec. Choć powiat słupski i jego pozytywne podejście do współpracy z Niemcami z pewnością odzwierciedla podejście pozostałych powiatów w Polsce do tej kwestii. Choć teraz nie jest to miejsce, aby dogłębniej zajmować się oceną tej sytuacji, to jednak różnica w wizerunku Polski widzianej przez pryzmat powiatu i wydarzeń warszawskich jest dla mnie najlepszym dowodem na to, że nasze partnerstwo musi być kontynuowane.

Podsumowując, widzę Polskę w aspekcie kraju i ludzi, jako naszego sąsiada, który z Niemcami potrafi i będzie współtworzyć na równych zasadach wspólną przyszłość Europy. Nasze partnerstwo jest małą częścią składową - kamieniem w tworzeniu tej wspólnej przyszłości Europy. A suma tych składowych będzie miała wpływ na pojednanie i perspektywy obu narodów w przyszłości.

Na szczególne wyróżnienie w dniu dzisiejszym zasługuje osoba śp. Piotra Manki, który był inicjatorem partnerstwa. To on poprzez swoje niezrównane zaangażowanie, sposób bycia i fachową wiedzę wniósł wielki wkład do polsko-niemieckiego pojednania i porozumienia. Przez dziesięciolecia budował on most porozumienia pomiędzy mieszkańcami swojej małej ojczyzny i tymi, którzy w tym miejscu mieli swój dom. Jego zaangażowanie w zrozumienie historycznej spuścizny i historii związanej z kanclerzem Otto von Bismarckiem, który miał w Warcinie swój drugi dom, przyczyniło się do powstania partnerstwa powiatu Herzogtum Lauenburg z powiatem słupskim. Miał on także swój wielki wkład w powstawanie przyjaźni pomiędzy wieloma ludźmi i instytucjami obu powiatów.

Co jest do zrobienia w przyszłości, co można zrobić lepiej? Powinniśmy nadal prowadzić naszą partnerską współpracę. Okazjonalne spojrzenie ponad granice, których właściwie już nie ma, pozwala za każdym razem, nauczyć się czegoś nowe-

Trochę żałosny finał

Co budziło jeszcze trochę żałosne odczucia? Honorowanie medalami i dyplomami prawie samych VIP-ów, instytucji i placówek. Im też dedykowano gros ciepłych słów, zapominając o pochyleniu się nad żywą legendą Jubilata.



Wspomniany hobbistów wędrówek po ziemi nad Słupią (PTTK, w latach 1906 - 1950 krócej: PTK, czyli Polskie Towarzystwo Krajoznawcze) to trzy szkolne koła prawie 180 fanów regionoznawstwa, które jesienią 1945 roku animowali pierwsi słupscy nauczyciele: Maria Bukowska, Jadwiga Mielcarska i Leon Pilawski. Za ich sprawą nieco później, 10 maja '46, utworzono w Słupsku

pionierski na Wybrzeżu Gdańskim oddział PTK. Dalsze, 70-letnie dzieje słupskiego krajoznawstwa przywołała w numerze 3-4 „Powiatu Słupskiego” autorka zapisów z kronik pt. „Krajoznawstwo słupskie”.

Czas więc chyba pokusić się o związane status quo. Rozmawiam z „nieustającym” sekretarzem Oddziału (49. rok) Januszem Grabowskim.

- PTTK - informuje pan Janusz - skupia obecnie w swoich szeregach 646 mieszkańców ziemi słupskiej (dawnego województwa). Dużo? I tak, i nie. Społecznikostwo staje się dziś wszakoż coraz bardziej efemeryczne, śladowe. Rzec by można: signum temporis. Jeśli za znak czasów, w których wypadło nam żyć (ani krzty aluzji, Boże broń, do „dobrej zmiany”!), potraktujemy i z każdym rokiem powszechniejsze, dotkliwsze kłopoty tzw. przeciętnych obywateli. Przykład pierwszy z brzegu: 10 zł rocznej składki (sic). Ponad połowa

styczne i przystań żeglarska są bowiem, ze zrozumiałych względów, jedynie wirtualnymi „źródłami środków obrotowych” (według oficjalnej ekonomiczno-finansowej nomenklatury). Oj, zapomniałbym o „profitach” z różnych szkoleń, oznakowań etc.

Skąd w takim razie region (statutowo - jak drzewiej, po 1975 - Regionalny Oddział) czerpie środki na z górą osiemset siedemdziesiąt eskapad po Słupskiem? Ba! Po Mazurach, Kujawach, Sudetach, Bałtyku i... Danii, Norwegii, bądź sześćset piętnaście prawdziwie masowych, tj. liczących z reguły 150 - 200 hobbistów imprez o trudnej do przybliżenia, bodaj w encyklopedycznym skrócie, tematyce? Ot, na przykład ogólnopolskie zloty szlakami Słowińskiego Parku Narodowego, rajdy piesze, rowerowe i kajakowe przez Park Krajobrazowy „Dolina Słupi”, regaty o Puchar Jeziora Gardno, spotkania z Krainą w Kra-

turyści piesi z Mikołajka i Orła, fani kolarstwa z Jantara, pasjonaci jachtingu z Oriona, nurkowie z Nautilusa, turyści górscy z Ceprów, kajakarze z Kapoka, Pijawki oraz (jedynej pozasłupskiej) Salamandry z Miastka. No, i opiekunowie patronujących im sekcji: Wanda Szpilewska, Genowefa Zielonka, Edward Adamkiewicz (89 lat i... ciągle aktywny I wiceprezes zarządu RO), Jacek Grabowski - junior i pomieniony wyżej Janusz Grabowski - senior, Maria Janusewicz, Bernard Sikora, Antoni Taraszkiewicz (92 lat i - non-stop od powojnia - komandor Jachtklubu Orion), Zbigniew Waśko. Dysponują oni - ciekawostka - 900,1 km traktów pieszych ze stosownymi certyfikatami jakości. Ponadto mają w swej gestii 143 członków kwalifikowanej kadry przewodnicko-instruktorskiej, której od dawien dawna szefuje Joanna Orłowska. Współ z spiritus movens - po Marii Zaborowskiej, Kazimierzu Świdierskim, dr. Józefie Cie-



Fot. Archiwum PTTK

członków to dzieci i młodzież szkolna. To siłą rzeczy zmusza do skreślenia rok w rok z petetekowskiej ewidencji około 30 procent pozornie tylko martwych dusz...

- Organizacja - dodaje rozmówca - przez nikogo od roku 1989 nie jest subwencjonowana. Utrzymuje się z hoteliku Mikołajek w słupskim „bractwie” i z bazy letniskowej w Gardnie Wielkiej. Tamtejsze magazyny tury-

te, wędrowni tropem kormoranów w zakolach Noteci, wyprawy podwodne słupskich Nautilusów. Można by tak długo, bardzo długo. Sumptem? Pytanie do całkowicie „opętanych” swym hobby wolontariuszy. Notabene. O wielu ze wzmiankowanych inicjatyw pisaliśmy, i to dość obszernie, na łamach „PS”. Przywołajmy więc może dzisiaj niektóre, zwłaszcza wymienione przez nas cichcem, jakby hasłowo:

pliku czy Stanisławie Szpilewskim - formatu niestrudzonych weteranów tej miary co Andrzej Gorski, Tadeusz Markowski i in.

Ale miało być o jubileuszowej gali w Zamku Księżąt Pomorskich. Z „expose” prezesa RO, wystąpieniami gości, wręczeniem 24 odznak i dyplomów PTTK, koncertem czworga uczniów Szkoły im. Jana Paderewskiego, otwarciem wystawy

poświęconej historii i dorobkowi słupskich petetekowców. I co? Filozoficzne prope nihil, w swobodnym tłumaczeniu: najlepiej przejść nad sprawą do porządku dziennego. W gronie „słyszalnych” VIP-ów znaleźli się tylko trzej: starosta Zdzisław Kołodziej-ski - jedyny aktualnie „darczyńca z urzędu”, senator Kazimierz Kleina i wiceprezes ZG Towarzystwa Stanisław Sikora. Współpatroni oficjalnych „obchodów 70-lecia zorganizowanej turystyki na ziemi słupskiej” - marszałek województwa Mieczysław Struk oraz prezydent Słupska Robert Biedroń? Pierwszy przysłał, za pośrednictwem 20-latki (sic), list gratulacyjny i... „urzędową” księgę na temat Stoczni Gdańskiej. Drugi z kolei nie zwracał sobie głowy - jak pan marszałek - listem w etui, wręczając poprzez jednego z najniższych rangą swoich pracowników minialbum Władysława Piotrowicza „Słupsk - dawniej Stolp na pocztówkach” (wyd. AD 2004), z nietuzinkowym wpisem: „70 lat - wspaniały wiek! Jestem bardzo dumny!” Z kogo? Z czego? Bo makiawelizmem doprawdy trąci fakt, że „wspaniałe, budzące w nim dumę” 70-lecie PTTK zbiega się z... decyzją o eksmisji Towarzystwa w wyniku ratuszowych zaniedbań sprzed półwiecza (!), na przekór polubowemu inicjatywom przewodniczącej Rady Miejskiej Beaty Chrzanowskiej. Mogliby ją wesprzeć posłowie słupscy Zbigniew Konwiński i Jolanta Szczypińska. Ten pierwszy zbył jednak sprawę grzecznościowym pisemkiem... sekretarki, druga zaś nawet palcem nie kiwnęła. Warto - sądzę - wiedzieć, gdzie mają swój region wyborczy i wyborców już pół roku po wyborach.

Co jeszcze tytułowe „trochę żalozne” odczucia budziło? Honorowanie medalami i dyplomami prawie samych VIP-ów, instytucji i placówek. Im też dedykowano gros ciepłych słów, zapominając o pochyleniu się nad żywą legendą Jubilata casus Taraszkiewicz, Adamkiewicz, Grabowski, Markowski i sporo, sporo innych. Szczególny wstyd upatrywałbym na twarzach dwóch wyżej wymienionych mało szacownych patronów.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Krajoznawstwo to nie tylko idea

Krajoznawstwo miało wskrzeszać polskiego ducha narodowego i umiłowanie własnego kraju. Tak rodził się wielki patriotyczny polski ruch turystyczny, który swoim zasięgiem obejmował cały kraj, a pracą organiczną budował podstawy krajoznawstwa.



Przymiotnik „polskie” występował od początku w nazwie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, podkreślając jego wyjątkowy ogólnonarodowy charakter. Symbolem była odznaka organizacyjna z herbami Warszawy, Krakowa i Poznania splecionymi obręczą wokół ruin zamku w Ogrodzieńcu. Głównym celem było ukazywanie piękna ziemi polskiej oraz rozbudzanie uczuć patriotycznych poprzez poznawanie Polski.

Od początku istnienia towarzystwo wielką wagę przywiązywało do wychowywania młodzieży. Do dzisiaj liczne grono działaczy społecznych podejmuje się roli nie tylko przewodników, ale wychowawców młodzieży. Wśród nich wspomina się szczególnie zasłużonego nauczyciela geografii Mieczysława Orłowicza, który opracowywał pierwsze przewodniki i publikacje turystyczne. Honorowymi członkami PTK byli w tym czasie

m.in.: założyciel organizacji - Aleksander Janowski i wybitny pisarz - Stefan Żeromski.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze prowadziło działalność wszechstronną. Od rozpoczęcia budowy schronisk, domów turysty, do działalności popularyzatorskiej, wydawniczej i turystycznej. Pierwsze schronisko PTK powstało w Świętej Katarzynie, u podnóża Łysicy w Górach Świętokrzyskich. Kolejne powstawały na atrakcyjnych turystycznie nizinnych obszarach kraju. Towarzystwo w szczególności organizowało i prowadziło muzea krajoznawcze, m.in. w Kaliszu (1908), Suwałkach (1908), Piotrkowie Trybunalskim (1909), Łowiczu (1910), Sandomierzu (1921), Nowogrodzie nad Narwią (1927) i Warce. Po odzyskaniu niepodległości PTK objęło działalnością cały kraj. Powstawały liczne oddziały i koła. Organizacja

Fot. J. Maziejuk

prężnie rozwijała się do wybuchu II wojny światowej. Do 1939 roku na terenie ówczesnej Polski powstało dwadzieścia muzeów regionalnych. Towarzystwo wydawało przewodniki, informatory i pocztówki, a także rocznik krajoznawczy „Ziemia”.

PTK reaktywowano w 1945 roku na tradycjach przedwojennych. Jednak już od 17 grudnia 1950 roku, w wyniku politycznych zmian grupa prywatnych osób, a nie delegatów na zjazdy organizacji, które prawnie już nie istniały, powołała Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, które kontynuuje i rozwija tradycje zrodzo-

na ziemi słupskiej, który stworzył podstawy przewodnictwa na nizinach, wykreował przewodnika po Parku Słowińskim i po Słupsku. Kreował model aktywności ruchowej uczniów, tj. masowy udział szkół w rajdach, w imprezach turystycznych i w konkursach. Najlepsi uczniowie publikowali swoje osiągnięcia naukowe w periodyku młodzieży krajoznawczej „Orli Lot”.

Krajoznawstwo słupskie po drugiej wojnie światowej odegrało dużą rolę w społecznych procesach adaptacji do świadomości rodzącego się patriotyzmu lokalnego na Ziemiach Odzyskanych. Tutaj również w pierw-

nie prezesa Andrzeja Gorskiego i były wystąpienia gości, m.in. senatora Kazimierza Kleiny i starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego. Wręczono odznaczenia turystyczne, wyróżnienia i przekazano upominki. Wspominało wielostronny dorobek regionalnego oddziału, udział w ogólnopolskiej inwentaryzacji krajoznawczej, w imprezach szkoleniowych i integracyjnych. Szczególne gratulacje otrzymał urzędujący sekretarz Janusz Grabowski, najdłużej pracujący w oddziale PTK, bo od 1968 roku. Ze wzruszeniem uczestnicy oglądali pierwszy przewodnik turystyczny „Słupsk i okolice” Józefa Staśko z Krakowa, z mapkami miasta i okolicy, ze zdjęciami jeszcze zniszczonego Słupska, wydany w 1949 roku. Dokonano reprintu tego wydania i wydrukowano 200 egzemplarzy tej już historycznej publikacji. Następnie odbył się cykl imprez plenerowych, który był zwieńczeniem jubileuszu. Prezentowana była turystyka piesza, kajakowa, żeglarska. Bogaty program mobilizował mieszkańców regionu do szerokiego wzięcia udziału w przygotowanych imprezach, a szczególnie lokalne środowiska młodzieżowe, nauczycielskie i działaczy, którzy od dłuższego czasu przygotowywali się do tych okolicznościowych obchodów.

Obecne czasy są znamienne w ciągłym reformowaniu oświaty podstawowej, gimnazjalnej, licealnej, szkolnictwa wyższego. Poszukuje się uniwersalnych systemów wychowania i kształcenia młodego pokolenia Polaków. W tym przesłaniu nie można zapominać o roli wychowawczej krajoznawstwa. Władze centralne, a głównie Ministerstwo Edukacji Narodowej powinno dostrzec, jakie wielkie ma to znaczenie. Przy ograniczaniu lekcji geografii w szkołach, należałoby rozważyć potrzebę wprowadzenia krajoznawstwa oraz klasowych wycieczek krajoznawczych do programów lekcji wychowawczych - jako istotny bodziec w poznaniu i w kształtowaniu miłości do ojczystego kraju i regionu. Apel ten tak samo dotyczy samorządów lokalnych, władz miast, powiatów i gmin. Nie powinniśmy zapominać o wsparciu wszelkich imprez turystyczno-krajoznawczych, jako istotnego czynnika w kształtowaniu postaw obywatelskich, w poznaniu i poszanowaniu miejscowych wartości oraz proponowaniu zdrowego trybu życia, szczególnie dla miejscowej młodzieży.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



ne w PTK. Potwierdza to realizowany przez ponad pięćdziesiąt lat krajoznawczy program rozwoju turystyki.

W polskiej nowej rzeczywistości, w oparciu o pracę zasłużonych działaczy buduje się nowe struktury organizacyjne na tzw. Ziemiach Odzyskanych, czyli na zachodnich terenach Polski. Szczególnie w tym ruchu krajoznawczym, zespalałym ten obszar z macierzą, wyróżnia się organizacja powołana 10 maja 1946 roku w Słupsku. Była to inicjatywa słupskich nauczycieli: Marii Bukowskiej, Jadwigi Mielczarskiej i Leona Piławskiego, którzy doceniali rolę krajoznawstwa w wychowaniu młodego pokolenia. Idea rozwinięcia regionalizmu w poznaniu i opisanie obszaru Środkowego Pomorza przyświecała oddziałowi PTK w Słupsku i miała wielostronne znaczenie oraz zaspokajała ówczesne potrzeby społeczne. Jednocześnie praktycznie rozwijał się regionalizm

szczych latach powojennych rozpoczął się wielki rekonesans naukowy Uniwersytetu Poznańskiego, który prowadził badania przyrodnicze i etnograficzne, a w szczególności opracował wartości unikalne i granice przyszłego Słowińskiego Parku Narodowego. Do dzisiaj domeną w krajoznawstwie słupskim jest ten wyjątkowy Park Narodowy, jako nieliczny zapisany na liście Dziedzictwa Światowego UNESCO.

W 70. rocznicę powstania PTK-PTTK na ziemi słupskiej miały miejsce uroczystości jubileuszowe. Odbyła się konferencja jubileuszowa, koncert, wystawa, konkurs krasomówczy „Ziemia Słupska”, X Rajd Krajoznawczy - PK „Dolina Słupi”, Szkolny Rajd Rowerowy - Słupsk i okolice, zwiedzanie Słupska z przewodnikami PTK, zawody kajakowe „Słupia 2016”, regaty na jeziorze Gardno. Konferencja 10 maja oficjalnie rozpoczęła obchody. Było okolicznościowe przemówie-



Fot. J. Maziejuk

Chciałem zmieniać rolnictwo

Rozmowa ze Zdzisławem Kołodziejem - starostą słupskim.

- Panie starosto, jest pan absolwentem dawnej słupskiej szkoły rolniczej, prowadzonej dzisiaj przez powiat słupski. Czy może pan powiedzieć naszym młodym czytelnikom, jakie wspomnienia wiąże pan z dawnym „rolniczakiem”?

- Bardzo dobrze wspominam naszą powiatową szkołę. Za moich czasów nie był to Zespół Szkół Rolniczych tylko Państwowe Technikum Rolnicze, były również klasy Zasadniczej Szkoły Ogrodniczej. Technikum, do którego uczęszczałem świetnie przygotowało nas, uczniów do pracy w rolnictwie, a to dlatego, że funkcjonowało przy szkole gospodarstwo rolne. W nim odbywaliśmy praktyki - cotygodniowe i wakacyjne. Między innymi pracowaliśmy przy obsłudze krów mlecznych - z dojeniem włącznie, obsłudze cieląt, jałówek cielnych i bukatów. Pracowaliśmy również w polu, na przykład przy sadzeniu brukwi, pielęgnacji buraków pastewnych (przecince, przerywce, okrążce), zestawianiu snopów zboża w stygi po skoszeniu snopowiązałką (dopiero, kiedy byłem w piątej klasie pojawił się kombajn

zbożowy „Vistula”). Pracowaliśmy przy zwożeniu snopów do stodoły lub w stogi, zimą - przy omłotach, a także przy zbieraniu ziemniaków po kopaczce, gdyż kombajnów jeszcze nie było. Najmniej miłe wspominałem zbieranie ziemniaków i młócenie zimą zboża, bo było wtedy zimno i przeszkadzał kurz. Nie zapomnę instrukcji nauczyciela prowadzącego praktykę przy sadzeniu brukwi. Ciągłe powtarzał: „zielonym do góry”. W szkole uczyliśmy się też języków obcych: niemieckiego i rosyjskiego. Szczególnie ten drugi sprawiał duże kłopoty niektórym z moich kolegów. Zawsze bardzo miło wspominam

rym mieszkali też starsi rolnicy, już pracujący w rolnictwie, bo uzupełniali swoje wykształcenie w technikum zaocznym. Dzisiaj Zespół Szkół Agrotechnicznych w swojej ofercie ma bardzo szeroki zakres kształcenia, uwzględniający zainteresowania i pasje młodzieży, ale także możliwości rynku pracy. Dominują już jednak inne, nowe zawody, praktycznie rolniczych w dawnym rozumieniu nie ma. Bardzo zmieniła się bowiem polska wieś i zmieniło się nasze rolnictwo. Nie ma też zainteresowania u młodzieży zawodami rolniczymi. Myślę jednak, że zarówno absolwenci zasadniczej szkoły zawodowej, jak i



moją szkołę i wspaniałych nauczycieli. Dobrze przygotowała nas do pracy i do studiów wyższych.

- Czym się pan sugerował wybierając w tamtych czasach szkołę rolniczą?

- Wybrałem szkołę rolniczą z kilku powodów. Rodzice posiadali gospodarstwo rolne, w którym dużo pracowałem. W regionie słupskim w tamtym czasie było wiele państwowych gospodarstw rolnych, więc wiedziałem, że o pracę z mieszkaniem służbowym nie będzie trudno. Ponadto rolnictwo technicznie i technologicznie było u nas na dość niskim poziomie w porównaniu z zachodnim, sądziłem więc, że przyczynię się do jego rozwoju.

- Jakie różnice dostrzega pan między szkołą rolniczą, którą pan skończył, a dzisiejszą?

- W Państwowym Technikum Rolniczym uczyliśmy się zawodów typowo rolniczych. Szkoła była zdecydowanie mniejsza od obecnej, ale uczniowie pochodzili prawie z całej Polski, na przykład z województw: lubelskiego, poznańskiego, gdańskiego, olsztyńskiego. Dłatego funkcjonował internat, w któ-

technikum, którzy rozpoczną w tym roku naukę w naszych szkołach, nie będą mieli problemów ze znalezieniem pracy.

- Gdyby miał pan powiedzieć gimnazjalistom, dlaczego powinni wybrać słupski „rolniczak”, to co by im pan powiedział?

- „Rolniczak” jest od zawsze dobrą szkołą, ma już sześćdziesiąt lat tradycji, świetną kadrę pedagogiczną. Program nauczania dostosowany jest do rynku pracy, praktyki zawodowe organizowane są w dobrych firmach, również za granicą. Można zdobyć prawo jazdy kategorii T. Szkoła oferuje ciekawe zajęcia pozalekcyjne. Absolwenci uzyskują wysoki wynik z egzaminów zawodowych, jest on zdecydowanie wyższy od średniego wyniku w województwie pomorskim. Przyznawane są stypendia za wyniki sportowe, za wyniki i osiągnięcia w nauce, w tym specjalne stypendia motywacyjne dla uczniów klas pierwszych. Jednym słowem jest to duża nowoczesna szkoła, która daje dobre przygotowanie ogólne i zawodowe. Tego sam doświadczyłem.

**Rozmawiała:
Aneta Pietrowska-Śniegula, Słupsk**

Przeżyć sto i więcej lat

Mimo że od kilkudziesięciu lat mieszkam w Przewłocze to często zajeżdżam do Starkowa, mojej rodzinnej wsi w gminie Ustka. W ostatnim czasie mówi się tam dużo o dwojce znanych mieszkańców, którzy większość swojego życia przepracowali właśnie tutaj.

Kiedy pamięcią wracam do dziecięcych lat, przypominam sobie jak wyglądała praca na wsi w tamtym czasie. Były, co prawda indywidualne gospodarstwa, ale w zależności od pory roku, praca na polach wyglądała, jakby była wspólna. Szczególnie widać to było w czasie sianokosów na łąkach. Wśród ogólnego gwaru, mimo mozolnej pracy, na twarzach wszystkich pojawiał się uśmiech, kiedy słychać było pogwizdywania i śpiew powszechnie lubianego i zawsze pogodnego rolnika, Edwarda Bednarza. Historią jego losów zainteresowałem się jakieś pięć lat temu, to jest po ripocie - do dziś krążącej jako kawał - jaką otrzymał jeden z sąsiadów składających życzenia panu Edwardowi z okazji 95. rocznicy jego urodzin. Bystrość odpowiedzi i poczucie humoru, mimo podeszłego wieku, okazały się jak dawniej trafne i niespodziewane. Nie powtórzę ich ze względu na tzw. czarny humor.

Wtedy panowie umówili się na setną rocznicę urodzin. Właśnie pan Edward w tym miesiącu kończy 100 lat i obaj czują się świetnie. Jest też czas na wspomnienia. W 1939 roku, 3 września miał on zakończyć obowiązkową służbę wojskową. Niestety, 1 września wybuchła wojna. W czasie działań wojennych dostał się do niewoli i na prawie sześć lat trafił na przymusowe roboty. Kiedy w 1945 roku przyszło wyzwolenie był w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Rozmyślając o przyszłości, powrocie do domu w okolicy Janowa Lubelskiego - przy sprzecznych informacjach o sytuacji w Polsce - dał się zwerbować na wyjazd do Kanady, do prac przy wyrębie lasów.

Czekając na ten wyjazd - jak twierdzi - zraził się atmosferą panującą wśród żołnierzy amerykańskich. O co chodziło, nigdy nie chciał powiedzieć. - Jestem pewien - mówi - że ci, którzy dziś wyjeżdżają do pracy na Zachód w większości doświadczają tego, co i ja zauważyłem w tamtym czasie. Wolą biedę wśród swoich.



Tęsknota za domem i młodzieńcze wspomnienia spowodowały, że przy pierwszej okazji pan Edward wrócił do Polski. Kiedy czytam dziś w internecie, że cieszymy się, bo wielu rodakom udało się i nie wrócą już do kraju, to nasuwa się pytanie: co dziś w Polsce jest nie tak, że ludzie opuszczają ojczyznę? Edukacja, zarządzanie, wychowanie, utrata narodowych wartości? Najczęściej słyszaną odpowiedzią, kiedy brakuje argumentów jest ta, że każdy może wybrać dla siebie miejsce. A mnie ten obecny exodus na Zachód przypomina z historii dawną wędrówkę Polaków za chlebem do Ameryki. Tylko wtedy, jako naród, byliśmy w bardzo skomplikowanej sytuacji politycznej.

Pan Edward do Starkowa trafił jesienią 1945 roku, po namowie sąsiadki, która z rodziną wyjeżdżała z Lu-

belszczyzny na Ziemię Odzyskane. W Starkowie znalazł wolne gospodarstwo, na którym osiadł - jak się okazało - na zawsze. Żona zmarła mu kilka lat temu. Ma syna, córkę i z nią mieszka od niedawna w Słupsku.

Starkowo może się pochwalić wieloma leciwymi mieszkańcami. Najstarsza, Antonina Marczak w tym roku kończy 102 lata. Obecnie opiekuje się nią rodzina z Ustki. Na przykładzie tylko tych dwóch osób chce się powiedzieć: osiedlajcie się w Starkowie i okolicy. Tu ludzie żyją długo!

Ale kiedy patrzę na zachodzące zmiany, szczególnie w ostatnich latach, na obecny styl życia ludzi, zastanawiam mnie, czy są naprawdę trafne? Jaki mają wpływ na długość naszego życia? Czy czasem sami czegoś nie psujemy?

Adam Jabłoński, Przewłoka



Ślady przeszłości

Gać to wieś urokliwa, ale smutna. Tylko w maju pod kapliczką zbierają się wszyscy mieszkańcy, śpiewając z pobożnością pieśni maryjne.

Przeszłość jest fundamentem przyszłości, tak jak czasy, w których żyjemy są wyrocznią życia człowieka. Jako młoda dziewczyna, przeżyłam okres komuny i z całą stanowczością muszę stwierdzić, że nie wszystko było złe.

Jestem absolwentką Liceum Ogólnokształcącego w Pajęcznie. Nigdy nie należałam do żadnej organizacji związanej z polityką, oczywiście oprócz harcerstwa. Profesorowie, którzy mnie uczyli, to przedwojenna elita. Umieci, oprócz wiedzy, wpoić nam, uczniom głęboki patriotyzm i szacunek dla człowieka. Moimi najbliższymi przyjaciółkami ze szkolnych lat były - Barbara i Natalia Wo-

zniakówny, Halina Jaworska, oraz kolega Marian Drab.

Jeszcze głębokie ciemności otulały matkę ziemię, zaledwie na wschodzie ukazywały się światełka zorzy, a już w kościele w Pajęcznie, dzwoniły normalnie dzwony. Z profesor Marią Gajdą udawałam się na codzienne nabożeństwo roratnie. Wielu mieszkańców nie zważając na chłód, błoto szło do kościoła, aby oddać hołd Matce Boskiej Łaskawej. Muszę przyznać, że były to czasy głębokiej komuny. Może dla dzisiejszych krytyków tych powojennych czasów będzie to dziwne, ale nikt nam niczego nie zabraniał. Moja koleżanka Natalia Kubera została sza-

nowaną i mądrą profesorką tego liceum, w którym przepracowała aż do emerytury. Zaś ja z tamtych czasów wyniosłam zdolność empatii. W głębi duszy wszyscy pragniemy żyć w pokoju i harmonii, tworząc więzi z innymi, czuć radość i doświadczać miłości. To właśnie wyniosłam z tamtych czasów, z tamtego okresu.

Kiedy ostatnio byłam w Łebie nad morzem doznałam uczucia zachwytu. Na puste, czystej złotej plaży, koło Neptuna było ośmioro ludzi. Na ciemnych falach pływały dwa stadka białych łabędzi, a w górze krzykliwe mewy w tanecznych kręgach wielbiły piękno wiosny. Mimo upływu lat, innej epoki politycznej, człowiek wrażliwy każdym swoim nerwem odczuwa cud natury. Spojrzenie na bezkresny obszar morza sprawia, że powraca historyczna pamięć o wyprawach Wikingów, których bogiem był Thor, bóg wojny i piorunów. Jego atrybutem był ogromny młot. Napaści tych wojowników na spokojnych, pogodnych Słowian wybrzmiewają w poszumie morskich fal i wicheru. Wracając do Izbicy przez las Słowińskiego Parku Narodowego widać z jednej strony, jak olówki sosen zielonymi pędzelkami gałęzi malują na błękitcie nieba cudowne obrazy. Piękna jesteś moja pomorska ziemio o przedwiośniu, kiedy w leśnej gęstwinie rozbrzmiewają ptasie pieśni, z pobliskich trzcinowisk niesie się żurawi klankor i słychać rozgłośnie okrzyki dzikich kaczek i gęsi.

Mijając czystą, zadbaną wioskę Gać mam w sercu przejmujący smutek, że tyle ludzi których znałam, odeszło. Przybyli po wojnie radośni, że przeżyli ten koszmar. Mieszkali przez jakiś czas z Niemcami, póki ci ostatni nie opuścili swego „hajmatu”. Znam dobrze historię rodziny Niedźwiedziów. Przybyli do tej miejscowości z przymusowych robót. W pokoju obok mieszkali Niemcy, Gnattowie. Pewnego dnia rankiem, gdy Gnatt wracał z rybami, radziecki żołnierz postawił go pod ścianą, z zamiarem rozstrzelania za to, że mordował Polaków. Uratował mu życie Antoni Niedźwiedź, kłamiąc, że znał go z czasów wojny, że to „charoszyj Gierman”. Prawda o Gnacie taka: był tak odurzony nazizmem Hitlera, że choć było wiadomo, iż wojna się kończy, zdjął z dachu ołowiane rynnę na cele wojenne.

W mojej wiosce doszło również do makabrycznego mordu. W domu, w którym mieszkał ostatnio Stanisław

Bach, Niemiec zagłodził, zamykając w pokoju, kilku Polaków. Boli serce, kiedy się o tym pisze, lzy się cisną do oczu. Bieda powojenna była wielka. Ludzie otrzymali gospodarstwa, lecz nie wszyscy mieli konie, zboże, a szczególnie brakowało ziemniaków. Pierwszy rok pokoju w Gaci pani Halina Niedźwiedz obsadziła zagon ziemi obierkami. Później już było lepiej, mężowie pracowali w lesie, kobiety w pobliskiej torfiarni. Obok wioski powstał PGR, tam też była praca. Przykro tylko patrzeć na resztki popegeerowskich budynków. Dziwnie łatwo niszczyło się w Polsce, to czego się samemu nie zbudowało. Potem rodziny były liczne, dużo młodzieży, a ponieważ była świetlica, odbywały się potańcówki, przyjeżdżało objazdowe kino. Dzieci chodziły do szkoły. W wiosce było wesoło. Teraz młodzi wyprowadzili się z wioski, za pracą wyjechali z małżonkami do miast - Lęborka, Łeby, Słupska. Gać to wieś urokliwa, ale smutna. Tylko w maju pod kapilczką zbierają się wszyscy mieszkańcy, śpiewając z pobożnością pieśni maryjne. Jadą po kamiennej drodze turyści polscy, niemieccy, szwedzcy i podziwiają tę głęboką pobożność, która bez względu na pogodę sprawi, że ludzie z pokorą oddają cześć Królowej Polski. Czasem o zmierzchu, kiedy idę z moim przyjacielem koło starego niemieckiego cmentarza, opowiada jak straszło. Po cmentarzu biegły konie z dzwoneczkami, a gdy mężczyźni jechali w nocy do pracy w torfiarni, na siedzenie wskakiwał „filikutera”.

W książce „Kaszubskie Jeruzalem” jest wzmianka o wsi Gać położonej dziewięć kilometrów na północny wschód od Głównyc, zamieszkałej już w średniowieczu przez Kaszubów. Następnie zniemczonych. W dokumentach data powstania wsi przypada na 1618 rok.

Dziś wieś emanuje ciszą tak, jak w wierszu ks. Jana Twardowskiego:

*...I tyka w szczerym polu
w oddechu ziola
na klęczkach podziwając zasy nieba
można jeszcze znaleźć ciszę...*

Tak, jak można ją odnaleźć w urokliwej wsi Gać, położonej wśród lasów i łąk nad przastarą rzeką Łebą.

Emilia Zimnicka, Izbica

Kaszubskie róże igłą malowane

Przychodzą takie dni, że próbuję uświadomić sobie, ile wyhaftowałam już ładnych kwiatów, liści, serc, gałązek? Myślę, że pewnie byłby ich kilometrowy dywan.



Fot. J. Maziejuk

Moja znajomość z nitką i igłą zaczęła się dość wcześnie, w czasach dzieciństwa, a to dlatego, że mama zajmowała się krawiectwem. Często brałam w swoje, jeszcze nieporadne, dziecięce paluszki igłę z nitką i próbowałam coś z gałganków uszyć dla lalki. W owych czasach, na wsi często w kuchniach wisiały na ścianach haftowane makatki, z napisami: „Świeża woda zdrowia doda”, „Gotuj smacznie i zdrowo”. Zawieszane były w miejscach stosownych do treści napisu, na przykład nad ławką, na

której stało wiadro z wodą zaczerpniętą ze studni. W gościnnym pokoju, na stole pysznił się haftowany obrus. Gospodyni była z niego dumna, bo przesłęczała nad nim wiele zimowych wieczorów. Łóżka przyozdobione były również wyhaftowanymi poduszkami, nie mówiąc już o serwetkach. Wszystkie te ozdoby bardzo mi się podobały, tym bardziej, że w naszym domu ich nie było. Mama zajmowała się tylko krawiectwem, na haftowanie nie miała czasu. Ja przyrzekłam sobie, że gdy dorosnę i będę miała własny

dom, to również wystroję go w haftowane ozdoby.

Dopiero w szkole podstawowej, na tzw. pracach ręcznych pani nauczycielka pokazała nam najprostsze ściegi haftu. Miałyśmy zadane prace domowe. Chciałam zaimponować swojej wychowawczyni i zabrałam się za zbyt trudny wzór, jak dla początkującej hafciarki. Szybko się zniechęciłam, ale wyniosłam naukę, że haft to jednak trudna sztuka. Przyszła młodość i nie było czasu na zajmowanie się robótkami. Bardziej już wolałam coś sobie uszyć, żeby się pokazać z dobrej strony koleżankom niż zajmować się wyszywaniem. Gdy wyszłam za mąż, praca w gospodarstwie, trójka małych dzieci, też nie sprzyjały tego typu zajęciom. Wymarzone, wyszywane makatki zastąpiły fabrycznie zadrukowane. Sprawiliam sobie takie i po wypraniu zauważyłam, że na jednej niewiele pozostało z napisu i barwnego motywu. Cały się sprął. Tylko kontury zostały. To mi podsunęło myśl, żeby spróbować odtworzyć na niej sprany motyw. I udało się. Napis wyglądał porządnie. Widząc efekt swojej pracy, nabrałam chęci i w wolnych chwilach zajmowałam się haftowaniem. Często w kobiecych pismach zamieszczane były nietrudne wzory. Korzystałam z nich skwapliwie. Nawiązałam znajomości z paniami, które miały dużą wprawę w haftowaniu. W latach osiemdziesiątych nastąpiła moda na haft „richeliu” i nauczyłam się go do tego stopnia, że robiłam tą techniką wiele obrusów i serwetek. Po jakimś czasie spotkałam panią, która pokazała mi haft kaszubski. Objasniła znaczenie kolorów, motywów, ale jeszcze nic nie wiedziałam o pochodzeniu tego haftu, jego historii. Nie bardzo przekonywały mnie kaszubskie kolory, bo na przykład niebieskich tulipanów wtedy jeszcze nie było w naturze. Dzisiaj są już takie! Niemniej zainteresowałam się tym kierunkiem. Nabyłam teczek z kaszubskimi szkołami haftu, z których mogłam się wiele nauczyć. Byłam już trochę śmielsza w swoich zamierzeniach, nawet do tego stopnia, że postanowiłam wyhaftować kaszubski wystrój na boczny ołtarz Matki Boskiej w smółdzińskim kościele. Słów podziękowań nie było końca. Moja praca spodobała się proboszczowi i wielu moim znajomym.

Był rok 1996. Rok ten odmienił całe moje dotychczasowe życie. W

lipcu zmarł nagle mój mąż, Waclaw. Nastąpiły ciężkie i trudne dni. Któregoś dnia, siedząc przy kuchennym oknie, zauważyłam samochód, który podjechał pod nasz dom. Był to samochód Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Myślałam, że ktoś chce zapytać o drogę. Wysłałam z domu. Wtedy z samochodu wysiadła, uśmiechnięta pani i zapytała, czy dobrze trafiła? - Pewnie dobrze - odpowiedziała sobie sama - bo tylko artysta może mieć takie piękne malwy wokół domu. Po-

Pani kustosz obejrzała moje prace i pochwaliła. Dzisiaj wiem, jak dużo wykazała taktu, bo nie wszystko, co zobaczyła było doskonale. Zaprosiła mnie na warsztaty hafciarskie, do muzeum. Podziękowałam i obiecałam, że na pewno z nich skorzystam. Kiedy pojechałam na te warsztaty do Słupska, w ogromny zachwyt sprawił mnie widok rozwieszonych w sali wspaniałych kaszubskich haftów. Nie mogłam oderwać wzroku od misternie wyszytych serwet i obrusów. Nie



Fot. J. Maziejuk

dała rękę i się przedstawiła: - Nazywam się Hugona Ostrowska-Wójcik. Jestem kustoszem Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Okazało się że pani Hugona była w smółdzińskim kościele i tam zobaczyła mój kaszubski haft, który zdobi ołtarz. Natychmiast chciała mnie poznać. Przypomniało mi się, że w kwietniu tego samego roku gościłam w naszym domu pana Henryka Soję z Muzeum Wsi Słowińskiej w Kłukach. Zachwycił się moją kaszubską firanką zawieszoną w kuchni i serwetkami. Mówił wtedy, że przyśle kogoś, kto bardziej zainteresuje się moją pracą. Czyżby to się właśnie stało? - pomyslałam sobie.

wierzyłam, że takiego cudu mogły dokonać ludzkie ręce. Ucieszyłam się, że też nauczę się takiego misternego haftowania. Instruktorką okazała się sama Józefa Sitarz z Przechlewa. To pod jej okiem pilnie uczyłam się każdego ściegu, poznawałam nieprzebrane możliwości komponowania barw, by były zgodne z prawami oryginalnego haftu kaszubskiego. Poznałam wiele szkół kaszubskiego haftu. Sama dałam się poznać, że jestem chłonna tej wiedzy, że cechuje mnie cierpliwość, dokładność i pracowitość. Kiedyś podsłuchałam rozmowę pani instruktor z panią Hugoną Ostrowską-Wójcik na mój temat. Mówiła, że będzie ze mnie dobra hafciarka.

Po ukończeniu kursu hafciarskiego wstąpiła we mnie ochota, żeby swą wiedzę podzielić się zaraz z innymi. Sama zaproponowałam, że dam dzieciom smoldzińskiej szkoły kilka lekcji na temat haftu kaszubskiego. Przyjęto moją propozycję, ale na poprowadzenie lekcji nie poproszono. Zwierzyłam się znajomej, która również była uczestniczką podobnego kursu, że dobrze byłoby zachęcić kobiety w Smoldzinie, aby utworzyły kółko hafciarskie. Znajomej bardzo się mój pomysł spodo-



bał. Podchwyciła go i sama odwiedziła ówczesną dyrektorkę Gminnego Ośrodka Kultury - Danutę Grabowską. Pomysł sprzedała jako swój, a pani Grabowska zaraz go zaakceptowała.

Tak powstało Koło Hafciarskie w Smoldzinie. Było mi trochę przykro, bo, że to był mój pomysł - nie wspominała. Ale nie to było najważniejsze. Ważne, że takie koło powstało, znalazło się w nim zaraz piętnaście pań, które z wielką ochotą zaczęły uczęszczać na spotkania i dwa razy w tygodniu pod okiem bardziej doświadczonej Zofii Góreckiej, uczyły się haftu. Był to marzec roku 1997. Koło nabierało rozpędu. Miałyśmy swoją pracownię, wyposażoną w dobre oświetlenie,

wygodny duży stół. Znalazły się pieniądze, by zorganizować nam warsztaty, które poprowadziła wspomniana już Józefa Sitarz z Przechlewa. Patronatem objęło nas Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Pani Hugona Ostrowska-Wójcik i pan Henryk Soja bardzo często nas odwiedzali i kibicowali nam. Pani kustosz osobiście zaprojektowała nam stroje ludowe na podstawie dawnych strojów słowińskich. Byłyśmy z naszymi pracami zapraszane na wystawy sztuki ludowej, na wszelkie konkursy. Wyjeżdżałyśmy na spotkania z hafciarkami z innych kół. Praca w smoldzińskim kole dała mi wiele satysfakcji i bardzo wiele nauczyła.

Od tego czasu haftowanie stało się moim nieodłącznym zajęciem w chwilach wolnych od obowiązków gospodarskich. Prowadziłam z synami jeszcze duże gospodarstwo rolne, potem doszła agroturystyka, bo przez cztery lata wynajmowaliśmy pokoje letnikom. Po dziesięciu latach wdowieństwa wyszłam ponownie za mąż. Wyprowadziłam się do miasta i nie miałam już kontaktu z moim ukochanym „kółkiem hafciarskim”. Czasami odwiedzałam swoje koleżanki i tęskniłam za naszymi spotkaniami.

Mieszkając jeszcze na wsi któregoś dnia przypadkowo trafił w moje ręce stary, duży przedwojenny obrus, z ledwie narysowanym na nim pięknym wzorem, który dawna właścicielka miała zamiar wyhaftować. Wskazywały na to trzy płatki kwiatka. Nie dokończyła jednak swojej robótki. Zostawiła ją z wieloma innymi rzeczami, gdy musiała opuścić rodzinny dom. Po pięćdziesięciu latach miałam tę satysfakcję, że to właśnie ja dokończyłam jej zaczęta ledwie pracę. Przy pomocy Radia Koszalin odnalazłam rodzinę tej pani. Jej potomkowie byli bardzo wzruszeni, słuchając losów niedokończonego obrusa. Wiele nagrań radiowych i telewizyjnych zostało tej historii poświęconych.

Mieszkając w Słupsku nie zaprzestałam haftowania. Wręcz przeciwnie, nawiązałam wiele nowych znajomości. Wiele osób prosiło mnie o wyhaftowanie różnych rzeczy. Wstąpiłam do Zrzeszenia Kaszubskiego, więc miałam duże pole do działania. Zaczęłam haftować stroje ludowe, krawaty, nawet szaty liturgiczne, makaty, serwety, obrusy. Szybko dałam się poznać jako sumienna, dokładna hafciarka. Nie brakowało mi zamówień, a

w związku z tym i pracy. Niestety, los i tutaj nie okazał się łaskawy. Po kilku latach mojego szczęśliwego, spokojnego życia, przy boku drugiego człowieka, znowu zostałam sama. Szczególnie teraz umiejętność haftowania bardzo mi pomogła. Również dzisiaj dzięki tej niezwyklej umiejętności wspomagam swój, jakże skromny budżet domowy. Cieszę się gdy mam zamówienia. Tak moje hobby stało się sposobem dorabiania do życia.

Przychodzą takie dni, że próbuję uświadomić sobie, ile wyhaftowałam już ładnych kwiatów, liści, serc, gałązek? Myślę, że byłby pewnie kilometrów ich dywan. Moje hafty cieszą oczy w bardzo wielu krajach, na kilku kontynentach, gdzie miałam szczęście je sprzedać lub komuś podarować. Teraz każdą wolną chwilę poświęcam temu zajęciu. Dzień, w którym z jakiegoś powodu nie wezmę w ręce mojej robótki, uważam za stracony. To miłe dla mnie zajęcie wypełnia mi teraz mój samotny czas, odsuwa niedobre myśli, daje satysfakcję, ułatwia też kontakty z ludźmi.

Cieszy mnie, gdy moje wnuczki ciekawie przyglądają się, jak babcia wyszywa, są bardzo zainteresowane tym, co robię. Może też kiedyś będą hafciarkami? Albo mi się tylko tak zdaje.

Henryka Juralowicz-Kurzydło
Słupsk

Rysuje Zdzisław Opatko



Żywot górala niezwykłego

Tradycją Biblioteki Gminnej w Kobylnicy jest organizowanie spotkań z ciekawymi ludźmi. Do gmin współpracujących z Kobylnicą od lat należy podhalańskie Kościelisko. Stamtąd przyjechał na spotkanie z czytelnikami Józef Pitoń.



Józef Pitoń urodzony w 1932 roku jest dzisiaj najstarszym i najbardziej znanym podhalańskim gawędziarzem. Poza tym człowiekiem niesłychanie skromnym. Często powiada: „tylu już było przede mną sławnych Józefów”... Będąc pod Tatrami na każdym kroku spotyka się dzieci i dorosłych w strojach góralskich. Mogliśmy je też podziwiać w Kobylnicy. - Dzisiaj nawiązuje się do dawnych tradycji i państwo młodzi stają przed ołtarzem w takich ubiorach. U nas, jak mało gdzie, szanuje się tradycje. Żałuję tylko, że w szkołach nie uczą gwary góralskiej, ale rodzina też potrafi wiele nauczyć - mówił Józef Pitoń czytelnikom kobylnickiej biblioteki.

Ważnym zajęciem wśród górali jest hodowla owiec. Organizowany wiosną przez bacę redyk z pomocą juhasów ma charakter często bardzo uroczysty. Całe lato owce spędzają na pastwisku. Wtedy też z dojonego mleka wyrabia się oscypki. Wełnę pozyskuje się wiosną i jesienią. A na św. Michała kończy się wypas jesienny.

- Korzyści z hodowli owiec są wielorakie. Chcę zwrócić uwagę - mówił pan Józef - na zdrowotne walory baraniny. Szkoda, że jest ona prawie niedostępna w polskich restauracjach. Nie mówiąc o jagnięcinie. To prawdziwy rarytas, za którym przepadają szczególnie Włosi, importując na wiosnę jagnięta.

Józef Pitoń skończył Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego w Krakowie. Od najmłodszych lat był zafascynowany tradycją i góralskim folklorem. Został jednym z współzałożycieli Zespołu Pieśni i Tańca „Skalni”, działającego zresztą do dziś. W odbywających się co roku, na początku sierpnia, Sabałowych Bajaniach, które organizuje Dom Ludowy w Bukowinie Tatrzańskiej, aż dwadzieścia razy zdobywał główne nagrody. Jego gadki są dowcipne, inteligentne, pouczające i wiele dające do myślenia. Prowadził też naukę śpiewu i tańca w zakopiańskim zespole im. Bartusia Obrochty w Zakopanem. - Mieliśmy to szczęście - wspominał - że przed pięćdziesięciu laty na zaproszenie słynnego impresario

Jana Wojewódki byliśmy z występami w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Do dziś pamiętam ten ogromny aplauz zamieszkałej tam Polonii.

Pracował też przez dwa lata na budowach w USA, bo Józef Pitoń to nie tylko człowiek kultury. Był też przewodnikiem górskim i dwadzieścia pięć lat ratownikiem TOPR-u. Dodajmy jeszcze, że góral z Kościeliska został też reżyserem opery „Ojciec św. Jan Paweł na Podhalu” z udziałem licznej grupy śpiewaków, muzykantów i tancerzy, wystawianej z powodzeniem w Zakopanem, Ludźmierzu, Krakowie, Warszawie, a nawet w Rzymie.

Warto podkreślić, że słynny lider zespołu Zakopower, Sebastian Karpel-Bulecka, to też uczeń Józefa Pitonia. Góral z Kościeliska jest również cenionym autorem książek pisanych dawną gwarą prezentujących całe bogactwo góralskiego smaku. Ma na swoim koncie osiem tytułów. Najnowszą „W niebie i na ziemi” jeden z rozdziałów zapełnia na „drugim świecie” cała plejada postaci. Są tam stateczni gazdowie, góralscy księża, ale też kłusownicy i inni, co życie nie zawsze spędzali jak należy. Każdy z nich przyszedł do nieba ze swoją historią i... tu następuje wymiana opowieści, jak to kiedyś bywało.

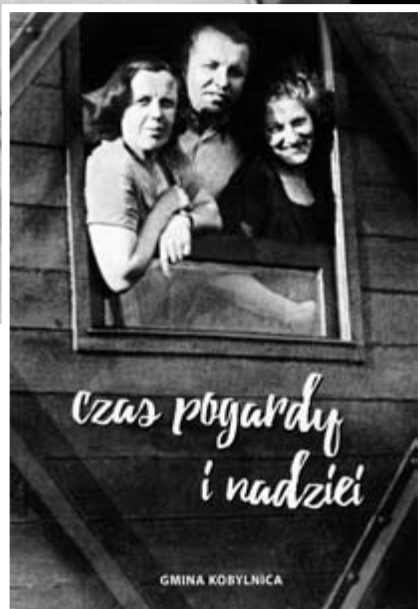
Innym z ostatnich tytułów autora z Kościeliska jest „Drzewiej i dziś”. Opisuje w książce te dawne zwyczaje i to jak ulegają zmianom. Józef Pitoń to góral o niezwykle bogatym życiorysie. Spotykał wielu ciekawych ludzi i był świadkiem ważnych wydarzeń od czasów II wojny światowej po dziś dzień. Stąd też przygotowywana jest jego biografia.

Nie można było nie zapytać na zakończenie spotkania, co robić, aby w tym wieku mieć kondycję i umysł pięćdziesięciolatka? Odpowiedź była prosta: - Trzeba się ruszać, no i oczywiście starać się być wesołym, bo - jak mawiał pochodzący z Kościeliska legendarny Sabała - cłekowi ze smutkiem żyć się nie godzi.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk



Książka o osadnikach



28 kwietnia odbyła się promocja książki zatytułowanej „Czas pogardy i nadziei”, wydanej przez gminę Kobylnica. Zawiera ona wspomnienia najstarszych mieszkańców gminy, których losy skrzyżowały się w dwóch punktach czasu i przestrzeni – pogardy dla człowieka podczas drugiej wojny światowej i nadziei – po zakończeniu wojny i przybyciu na Pomorze.

W wrześniu 1939 roku wojna brutalnie przerwała dzieciństwo lub wczesną młodość bohaterów książki. Wszyscy oni przybyli po wojnie na Pomorze, a ostatecznie do gminy Kobylnica. I właśnie w tej przestrzeni skrzyżowały się ich losy po raz drugi. Był to dla nich czas nadziei na zbudowanie nowego życia i nowej Polski, w której zagoją się rany zadane przez wojnę.

Książka powstawała od września 2015 roku do marca 2016 roku. Oparta została na wywiadzie przeprowadzonym wśród mieszkańców – powojennych osadników, którzy dzieląc się swoimi wspomnieniami również udostępniali swoje zdjęcia rodzinne. Z tych opowiadań bije szczerą prawdą o tragicznych losach ludzi, przejściach złych, dobrych, a czasem komicznych. Opowiedzianych w książce piętnaście historii napisało życie, które zawsze pisze najbardziej zaskakujące scenariusze.

Promocja książki miała miejsce w Sali Teatralnej Gminnego Ośrodka Kultury i Promocji. Uczestniczyli w niej bohaterowi zapisanych opowieści: Genowefa Błaszczak-Wróblewska – mieszkanka Widzina, wyjątkowo wpisująca się w tę uroczystość dzięki grze na akordeonie, na którym na-

uczyła się grać w holdzie swojemu tragicznie zmarłemu ojcu; Czesława Bubnowska – mieszkanka Kobylnicy, przez dwadzieścia lat pracowała jako bibliotekarka; Honorata Dąbrowska z Łosina oraz Eugenia i Marian Darda z Lulemina, Halina Klinger z Kobylnicy, Feliksa Kłudka z Sycewic, Bolesław Kosicki ze Słonowic, Tadeusz Mikołajczak – zapalony pszczelarz z Sycewic, Zygmunt Pacucha i Jerzy Redmerski z Wrzącej, Stanisław Spurgiasz z Kończewa, Czesława Szewczuk – emerytowana nauczycielka ze szkoły w Słupsku oraz Genowefa Waliszewska z Reblina.

Swoją obecnością uroczystość zaszczyliły również córki Stefanii Siemińskiej-Rokita – Małgorzata Rokita i Mirosława Żebrowska-Sands oraz córka Bronisława Jeziorowskiego – Marta Bartos.

O oprawę muzyczno-wokalną zadbał zespół Ale Babki z Kobylnicy, który wykonał utwory: „Tu wszędzie jest moja ojczyzna”, „Polskie kwiaty” i „Chcę wyjechać na wieś”. Pani Genowefa Wróblewska zarecytowała wiersz „Już maj nadchodzi” i zagrała na akordeonie utwór „Lapaloma”. Następnie Mirosława Rokita przeczytała wiersz Stefanii Siemińskiej-Rokity „Pamiętam”, a Mirosława Że-

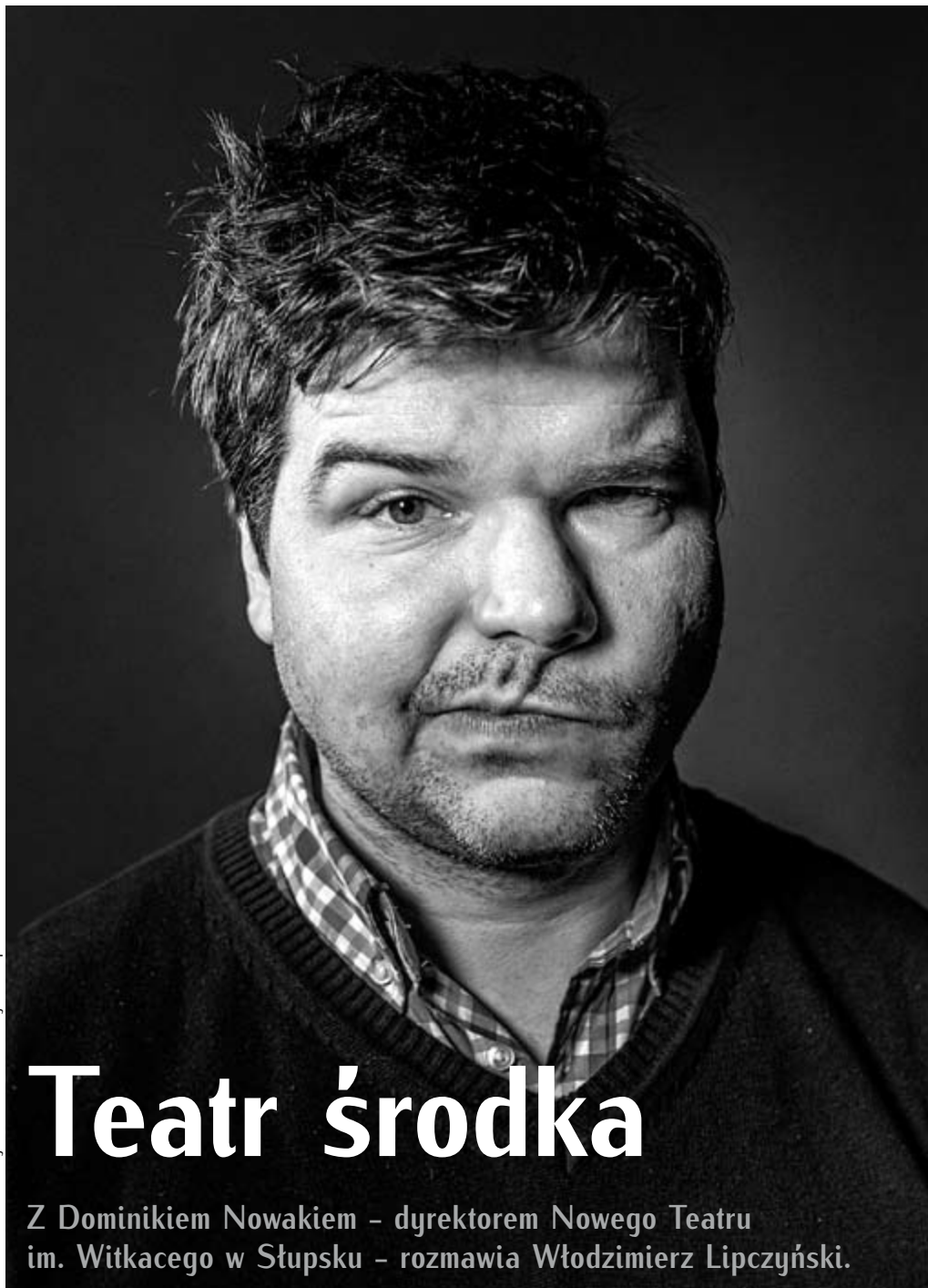
browska-Sands wyraziła swój podziw i wdzięczność za zorganizowanie takiego spotkania i wydanie książki, w której znalazła się historia ich niezwykłej już matki.

Pani Halina Klinger ożywiła publiczność, czytając dowcipy. Pan Stanisław Spurgiasz też wystąpił recytując zabawny wiersz. Na zakończenie utalentowana młoda mieszkanka Kobylnicy – Anna Jakubowska zaśpiewała piosenki Alicji Keys: „Just be Paloma Faith” i „If I ain't got you”.

Podczas spotkania w świetlicy każdy mógł porozmawiać z bohaterami książki i dostać wpis na pierwszej stronie. Również Kronika Biblioteczna jest skarbnicą wielu podziękowań i podpisów z tego dnia. Uwieńczeniem uroczystości było wspólne pamiątkowe zdjęcie.

Gmina wydała książkę w nakładzie 1000 egzemplarzy. Jest ona dostępna m.in. w Gminnej Bibliotece Publicznej i jej filiach oraz w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku. Udostępniono ją również Bibliotece Narodowej. Wywiady spisał i zaprezentowany podczas uroczystości film o losach kobylnickich osadników przygotował red. Bogusław Matuszkiewicz ze Słupska.

Joanna Taudul, Kobylnica



Teatr Środka

Z Dominikiem Nowakiem – dyrektorem Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

- Rozpoczął pan kierowanie słupskim teatrem - jako chyba najmłodszy jego dyrektor. Podpisany kontrakt gwarantuje panu pracę do końca sierpnia 2019 roku. Chciałbym przybliżyć czytelnikom „Powiatu Słupskiego” nowego dyrektora, jako osobę odpowiedzialną za przyszłość słupskiego teatru.

- Moja przygoda z teatrem rozpoczęła się jeszcze w podstawówce. Miałem fantastyczną polonistkę - panią Barbarę Bierówkę, która angażowała mnie do wszystkich działań sceniczno- estradowych w naszej szkole. Zabawne, bo kilka dni temu, 3 maja czytałem preambułę pierwszej polskiej Konstytucji podczas uroczy-

stości w Słupsku. Przypomniało mi się wtedy, że dokładnie ten sam tekst mówiłem podczas uroczystości szkolnych ponad dwadzieścia lat temu. Żeby wyglądać podobnie do Poniatowskiego, nauczycielka przyniosła mi swoją bluzkę z „żabotem”. Kiedy wyszedłem na scenę, tysiąc koleżanek i kolegów wybuchło dwuminutowym śmiechem. Potem otrzymałem dwa razy dłuższe oklaski. To było bardzo sympatyczne. Pani Barbara jest wspinałym pedagogiem, zabierała nas regularnie do teatru - zazwyczaj na wieczorne spektakle, i raczej nie na lektury szkolne. Kiedyś zabrała nas do Cricoteki w piwnicach krakowskich Krzysztoforów, przepychaliśmy się w

kłębach dymu papierosowego pomiędzy stolikami z piwem, żeby zobaczyć przestrzeń spektakli Kantora. Była młodym i pełnym idei nauczycielem, z pewnością jest taka do dzisiaj. Któregoś dnia powiedziała: Dominik, ty zostaniesz aktorem albo księdzem. I tak się stało. Wybrałem teatr. Do szkoły średniej wkraczałem już jako zdeklarowany amator sztuki scenicznej, zorganizowałem w liceum koło teatralne. Z wieloma opiekunami - aktorami prowadzącymi te zajęcia, przyjaźniłem się do dzisiaj. Po ukończeniu liceum podjąłem studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. Studiowałem w rodzinnym mieście i przez prawie całe studia zazdrościłem moim rówieśnikom, że wyfrunęli z gniazda i mogą mieszkać samodzielnie, poza domem. Ja z domu wyprowadziłem się pod koniec czwartego roku. Szkoła teatralna była dla mnie absolutnie fenomenalnym zjawiskiem. Wiele osób twierdzi, że jest to najpiękniejszy okres w życiu. Często porównuje się studia do wystrzelenia człowieka w kosmos, zaś wejście na rynek zawodowy do utraty kompresji w skafandrze. Choć w oryginale ta anegdota brzmiała, że to tak, jakby ci ten skafander w kosmosie pierd...nął.

W Krakowie w jednym miejscu spotykają się studenci wydziału aktorskiego oraz reżyserii, i to jest ogromny atut tej szkoły. Poza tokiem nauczania, odbywają się próby do egzaminów, tworzy się środowisko artystyczne, powstają idee i ferment twórczy. Władze uczelni dają ogromną wolność studentom. Siedzieliśmy w szkole po kilkanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Zdarzało nam się w szkole nocować.

- Kto jeszcze wywarł szczególnie piętno na pańskiej edukacji teatralnej?

- Środowisko teatralne jest bardzo małe, na jednym roku jest dwudziestu studentów, wszyscy się znają i prędzej czy później spotykają się gdzieś w pracy, w teatrze czy na planie filmowym. Gdybym miał wymienić osoby, które w sposób szczególny wpłynęły na moją edukację, byłaby to lista bardzo długa i z pewnością nie ograniczałaby się do nauczających aktorów czy reżyserów. Byliby na niej pracownicy techniczni, administracyjni, koledzy, ludzie spoza szkoły, pomagający nam robić teatr. Kilka lat temu zmarł Bogdan Hussakowski, wspaniały pedagog, przyjaciel, reżyser. Po wylewie krwi

do mózgu rozmawiał ze studentami nietypowym językiem i udowadniał, że dziewięćdziesiąt procent informacji przekazujemy sobie bez używania słów. Był jednym z nielicznych, który podkreślał wagę solidnego warsztatu teatralnego. Zrobiliśmy razem kilka przedstawięń, również po ukończeniu szkoły. Jeśli miałbym kogoś jeszcze wyróżnić, to właściwie przede wszystkim Bogdana. Ukończyłem Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie ze specjalizacją aktor dramatyczny - innej zresztą, kiedy rozpoczynałem studia w Krakowie nie było. Dziekanem tego wydziału był Jacek Romanowski, uczelnią kierowała prof. Ewa Kutryś, kanclerzem był niezastąpiony Franciszek Gałuszka. W pracy dyplomowej pisałem o zjawisku pojmowania prawdy w teatrze poprzez pryzmat różnych gatunków scenicznych i technik aktorskich. Na dyplom aktora składają się, prócz pracy magisterskiej, dwie role zagrane w spektaklach dyplomowych, a organizowanych przez uczelnię. Ale większość studentów stara się znaleźć sobie zajęcie już w trakcie studiów. Ja broniłem pracy magisterskiej przed komisją pracującą pod przewodnictwem Jacka Romanowskiego i tego samego dnia wieczorem grałem w Teatrze Starym w Krakowie Starościca w „Księdzu Marku” Juliusza Słowackiego. Na studiach założyłem dwa zespoły teatralne. Jeden z nich - „kolektyw nowak/wysocka/zadara” pracował w Słupsku. Kiedy otwierał się ponownie Nowy Teatr przyjechaliśmy w wakacje na próby „Hamlet Maszyny” z Barbarą Wysocką i Michałem Zadarą. Teatr udzielił nam swojej gościny, korzystaliśmy z małej sceny - w tym czasie Michał miał próby do „Szalonej Lokomotywy” Witkacego, który to spektakl otwierał Nowy Teatr po reaktywacji. Drugi zespół otrzymał nazwę Teatr Nowy. Robiliśmy spektakle w różnych miejscach w mieście, po jakimś czasie udało nam się pozyskać lokal przy ulicy Gazowej 21. Teatr Nowy funkcjonuje do dziś. Na wrzesień zaplanowaliśmy koprodukcję - spektakl inspirowany życiem Violetty Villas.

- **Dobrze czuł się pan w tygłu „krakowskiej cyganerii”?**

- Faktycznie, Kraków to miasto kultury i rozrywki. Każde wyjście „po gazetę” kończy się kilkugodzinnym pobytem w kawiarnianych ogródkach. Wszędzie siedzi jakiś znajomy,

który musi porozmawiać. Jest to niezwykle sympatyczne. Kiedy przeprowadziłem się do Warszawy, wiele osób mówiło mi, że „tu ludzie chodzą ulicami”, a w „Krakowie spacerują”. Marzy mi się taki lokal działający przy słupekim teatrze, który potrafiłby gromadzić ludzi szeroko pojmowanej kultury.

Po studiach pracowałem w kilku krakowskich teatrach - Starym, Stu, Barakach, Łażni, Ludowym. Przede wszystkim zajmowałem się Teatrem Nowym. Grałem tam, realizowałem projekty, stworzyłem polsko - niemiecki festiwal. Przez kilka lat wykładałem w prywatnej szkole teatralnej L'art Studio. Po przeprowadzeniu się do Warszawy zająłem się bardziej aktywnością telewizyjną. Przez dwa lata grałem w programie „Betlejewski. Prowokacje”, kręconym dla telewizji TTV. Wziąłem udział w całkiem sporej liczbie reklam. Współpracowałem z kilkoma teatrami w Polsce, dwoma w Warszawie. Założyłem stowarzyszenie Zakład Pracy Twórczej w Warszawie. Zrobiliśmy kilka spektakli, zanim

organizacja zdążyła rozwinąć skrzydła, wyłądownałem w Słupsku.

- **W pana CV można przeczytać, że jest pan autorem licznych projektów teatralnych, autorem dramatów i scenariuszy filmowych...**

- Jestem przede wszystkim aktorem, chociaż teraz bardziej menedżerem kultury. Staram się podchodzić do teatru holistycznie. Właśnie kończę studia z zarządzania kulturą w warszawskiej SGH. Od jakiegoś czasu reżyseruję, sporo życia poświęciłem pedagogice teatralnej. Piszę teksty sceniczne, zajmuję się fundraisingiem, prowadzę projekty kulturalne, a od stycznia jestem szefem słupekiego teatru. Zaraz po ukończeniu studiów aplikowałem o środki unijne na założenie działalności gospodarczej. Dotację otrzymałem, przez dwa lata prowadziłem firmę pod nazwą Teatr Nowy Agencja Artystyczna. Później założyliśmy stowarzyszenie Teatr Nowy i firmę zlikwidowałem. Nie chciałem dublować zobowiązań fiskalnych, a z ramienia NGO'su znacznie łatwiej można było ubiegać



Fot. Archiwum Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku

się o granty publiczne. Jeśli chodzi o role jakie zagrałem, to zazwyczaj gram role charakterystyczne, komediowe, bardzo lubię groteskę. Ze względu na swoje warunki i typ osobowości, tworzę postaci wyraziste, chociaż uwielbiam oglądać subtelne aktorstwo. Niebawem będzie można zobaczyć mnie w monodramie „Novecento” na deskach słupskiego teatru. W jednym ze spektakli mówiłem taką mniej więcej kwestię: „jak mawia stare żydowskie przysłowie, kiedy nastąpi koniec świata najpierw zmartwychwstaną wszyscy dobrzy i święto jebliwi. Ale zaraz po nich ci, którzy rozmieszają ludzi - czyli my!” I takiej filozofii się, póki co, trzymam.

Pyta pan też o to, to dodam, że otrzymałem kilka nagród zbiorowych i indywidualnych za role aktorskie - między innymi za spektakl „Novecento”, którego słupska premiera odbędzie się 4 czerwca czy za „Wesele” w reżyserii znanego w Słupsku Michała Zadary. Za działalność na rzecz kultury Prezydent Miasta Krakowa przyznał mi stypendium twórcze. Dwukrotnie docenił mnie Goethe Instytut za zaangażowanie na rzecz współpracy artystycznej między Polską i Niemcami.

- Co zadecydowało o tym, że podjął się pan dyrektorowania w słupskim teatrze?

- Swoją aplikację na kandydata na stanowisko dyrektora słupskiego teatru złożyłem z kilku powodów. Najważniejszym była wizja nowoczesnego i otwartego miasta prezentowana przez organizatora tej instytucji. Kierowanie teatrem wbrew polityce kulturalnej miasta czy wbrew sobie jest skazane na katastrofę, albo co najwyżej na przeciętność. Kilka tygodni po objęciu funkcji, Wydział Kultury przesłał mi „DNA miasta” - dokument będący analizą sytuacji kulturalnej wraz z sugestiami prowadzenia polityki kulturalnej w Słupsku. Ze zdumieniem czytałem dokument, który niemal całkowicie pokrywał się z założeniami mojej aplikacji. Chciałbym, żeby słupska scena była nowoczesnym, różnorodnym i interdyscyplinarnym teatrem środka, rozumiejącym potrzeby lokalnej społeczności. Instytucją rozumianą jako elastyczna i mobilna platforma kultury scenicznej, aktywizującą mieszkańców Słupska oraz środowiska artystyczne całej Polski wokół projektów kulturalnych, społecznych, edukacyjnych i czysto

rozrywkowych. Był to teatr otwarty na współpracę z ośrodkami, twórcami oraz innymi instytucjami szeroko rozumianej kultury w mieście, w kraju i za granicą. Był inspirował innych do podejmowania inicjatyw kulturalnych w oparciu o infrastrukturę teatru oraz programy grantowe instytucji zewnętrznych. Chciałbym by była to scena w jak najszerszym stopniu realizująca oraz stwarzająca potrzeby i oczekiwania lokalnej społeczności, każdego pokolenia, wychodząca w swoich działaniach poza tradycyjne pojęcie teatru miejskiego, biorąca udział w festiwalach, wymianach i projektach. Był to ośrodek promujący Słupsk, jako nowoczesne i otwarte miasto sztuki oraz inicjatywy kulturalnych.

- Czy sytuacja finansowa teatru pozwoli na realizację takich ambitnych planów?

- Teatr słupski otrzymuje najniższą dotację ze wszystkich teatrów dramatycznych w Polsce. To w znacznym stopniu determinuje program i sposób budowania repertuaru. Dlatego środków na realizację naszych przedsięwzięć poszukujemy poza instytucją, piszemy projekty, zwracamy się do sponsorów, tworzymy programy współpracy z środowiskami twórczymi, realizujemy koprodukcje. Sytuacja finansowa teatru była mi znaną przed objęciem stanowiska i pomysł na tę instytucję został „uszyty” na miarę optymistycznie postrzeganych jej możliwości. Chciałbym, żeby po niespełna czterech latach mojej obecności w Słupsku, Nowy Teatr był rozpoznawalną marką na kulturalnej mapie Polski. Musimy zaistnieć na rynku festiwalowym, a w mieście zdobyć młodego i poszukującego widza. Nie miałym rozczarowaniem byłoby, gdybyśmy utracili te środowiska, które do tej pory w naszym teatrze bywają.

- Ostatnie pana propozycje programowe wywołały kontrowersję. Dotyczą m.in. przedstawienia na scenie wydarzeń związanych ze śmiercią ucznia Przemka Czai w Słupsku?

- Dziesiątego stycznia 2018 roku minie dwudziesta rocznica tragicznych wydarzeń w Słupsku, w których zginął młody człowiek, Przemek Czaja. Wydarzenia te trwale wpisały się w świadomość społeczną mieszkańców Słupska. Myślę, że jedną z podstawowych wartości teatru jest jego lokalność. Teatr powstaje w danym

miejscu i jest oglądany przez ludzi zamieszkujących dany region. Dlatego powinien poruszać problemy i zjawiska dotyczące lokalnej społeczności, idealnie, jeśli może przedstawiać je w sposób uniwersalny. Na tym również polega misja teatru publicznego. Teatru, który jest utrzymywany z podatków lokalnej społeczności. Tragedia sprzed dwudziestu lat jest częścią naszej lokalnej historii i myślę, że warto się jej przyjrzeć ponownie.

- Jakich problemów obawia się jeszcze pan w kierowaniu słupskim teatrem?

- Największym problemem organizacyjnym Nowego Teatru w Słupsku jest brak własnego budynku. Wszystkie pomieszczenia, poza tak zwaną wozownią, w której znajduje się prowizoryczny warsztat dekoracji (część dachu tego budynku niedawno się zawaliła) wynajmujemy od Filharmonii. Mała Scena jest wyłącznie do naszej dyspozycji, ale nie da się z powodów akustycznych prowadzić spektaklu i użytkować sali prób znajdującej się piętro wyżej jednocześnie. Większy problem jest z dużą sceną. Teatr potrzebuje dłuższych bloków pracy w dekoracjach przed każdą premierą. W obecnych warunkach to nie jest możliwe. Bardzo zależy nam na wybudowaniu osobnej kameralnej sceny dla około dwustu widzów. Byłbym szczęśliwy, gdyby udało się stworzyć taką przestrzeń poprzez rozbudowanie budynku starej wozowni w ramach rewitalizacji miasta. Jeśli chodzi o repertuar to - jak już powiedziałem - będziemy starali się, by był on zróżnicowany. Z całą pewnością znajdzie się w nim miejsce dla literatury edukacyjnej i klasyki, w tym także dla sztuk Witkacego, którego teatr nosi imię. Przy teatrze funkcjonuje już Rada Programowa, ale może należałoby się zastanowić nad jej rozszerzeniem lub zmianą sposobu jej funkcjonowania. Bardzo zależy mi na komunikacji z całym zespołem. Świadomość zachodzących procesów oraz czynny w nich udział, tworzy zespołowość, powoduje, że ludzie biorą wspólną odpowiedzialność za miejsce, w którym pracują i czują się jego pełnoprawnymi twórcami. W najbliższym czasie spotykamy się całym zespołem, żeby podyskutować o sytuacji i planach teatru. Wszyscy zostali zaproszeni, a każdy pomysł czy sugestia będą mile widziane.

- Dziękuję panu za rozmowę.

„Ulica” w Nowym Teatrze

Wierna publiczność słupskiego teatru długo czekała na obsadzenie wakującego stanowiska dyrektora. Gdy dostał je Dominik Nowak z marszu podjął próbę przypodobania się miejscowym patriotom sztuką, do której za scenariusz posłużyła książka miejscowego pisarza młodej generacji – Daniela Odiji.



Z uznaniem odnoszę się do najlepszej książki tego autora „Tartak”, natomiast do „Ulicy” mam dystans. Jest to temat w kulturze teatralnej i filmowej wielokrotnie już powtarzany, żeby nie powiedzieć: „oklepany”. Przekrój socjologiczny mieszkańców jednej ulicy może stanowić zawsze ciekawy materiał do badań społecznych. Ale czy może to być również temat na sztukę teatralną?

Reżyser Iwo Vedral podjął się wystawienia „Ulicy” opartej na wątkach patologii społecznej, obyczajowej i podjął próbę odhumanizowania tonącego życia. „Ulica” jest mitologiczną opowieścią o destruk-

cji ludzkiej i mało ma wspólnego ze współczesnością.

Podsluchane rozmowy, bo na nich opieram ocenę premiery, były skrajnie zróżnicowane. Nie wszystkim podobał się przegląd tylko „czarnych charakterów”, do tego wszystkich nietrzeźwych. Bełkot alkoholików niekoniecznie musi być tematem ciekawym dla wyrafinowanej widowni i atrakcyjnym dla sceny. Sztukę ratuje muzyka Jakuba Orłowskiego i śpiewane „songi” przez plejadę zasłużonych dla słupskiej sceny aktorów: Bożenę Borek, Igora Chmielnika, Paulinę Fonferek, Adama Jędrusza, Jerzego Karnickiego, Krzysztofa Kluzika, Hanny

Piotrowskiej, Marty Turkowskiej. Pokazują oni na scenie swoje możliwości i aktorskie emploi.

Przedstawiane songi czasami przypominają wątki zaczerpnięte ze sztuki Bertolta Brechta „Opera za 3 grosze”. Ale to światowy musical parodystyczny, który ma jednak akcję i ciekawe wątki sceniczne. Uogólnieniem podsluchanych rozmów może być wypowiedź: „Książka Daniela Odiji jest ciekawsza, niż sztuka pokazana na jej podstawie”. Dodam, że scenografię i kostiumy przygotował Tomasz Brzeziński.

„Ulica” to spektakl podejmujący próbę pokazania już historycznej tkanki społecznej naszego miasta i życia mieszkańców jednej ulicy. Czy przeniesienie książki do scenariusza spektaklu teatralnego okazało się udane, należy ocenić samemu.

Premiera sztuki odbyła się 9 kwietnia. Jako ciekawostkę można przytoczyć już zapomniane wydarzenie, związane z ulicą sąsiadującą z najładniejszym ratuszem miejskim. Otóż w latach istnienia województwa słupskiego został ogłoszony wielki konkurs urbanistyczno-architektoniczny na nowe centrum Słupska - na dzielnicę, która miała powstać na tzw. slumsach śródmiejskich i wchłonąć m.in. ulicę Długą. Zgodnie z wynikami konkursu w tej części miasta miała powstać nowoczesna tkanka, jako symbol nowej zabudowy miejskiej. Teraz ta część miasta powoli się przekształca i to też należy zauważyć.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. Archiwum Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku

Na początku drogi

Talent wczesnie rozpoznany daje szczególne możliwości kształtowania osobowości artystycznej młodego twórcy i przyczynia się do szybkiego osiągnięcia jego artystycznej dojrzałości.



Acóż to takiego jest talent? Jak w praktyce go rozumieć? Czy jest wykrywalny, jak go szukać? Formuły encyklopedyczne odpowiadają lakonicznie: „talent to niezwykła nieprzeciętna zdolność twórcza”, „to człowiek wybitnie uzdolniony do czegoś”. Byłam na pierwszym wernisażu Klaudii Gołębiewskiej, reprezentującej młode pokolenie artystyczne ziemi słupskiej. Przygotowano go we wnętrzach przytulnej restauracji „Kulturalna Uczta” w Słupsku. Była to wystawa początkującej artystki, która zaprosiła na nią swoich przyjaciół, aby pochwalić się swoim plastycznym talentem. Dowiedziałam się, że Klaudia Gołębiewska jest rodowitą słupszczanką, tutaj spędziła swoje dzieciństwo i uczęszczała do szkół. Ten okres w rozmowie tak wspomina: - Moje dzieciństwo było szczęśliwe. Mam o pięć lat młodszego brata, z którym zawsze miałam dobry kontakt. Moją pierwszą

szkołą była Szkoła Podstawowa nr 3 (wcześniej 14) przy ulicy Banacha, ale największy wpływ na moje wychowanie i edukację wywarła jednak moja mama i dziadkowie. To głównie dzięki nim jestem taka, jaka jestem i robię to, co robię.

Jednak zainteresowania plastyczne Klaudii Gołębiewskiej datują się od czasów przedszkola, gdzie w jej przypadku pierwszym przyrzędem do rysunku nie był ołówek, a... wtyczka do kontaktu, a zamiast papieru - była ściana. Później jako uczennica szkoły podstawowej kopiowała postacie z Biblii dla dzieci. Do dalszej edukacji wybrała Liceum Plastyczne im. Stanisława I. Witkiewicza w Słupsku, które jest kuźnią młodych talentów, przygotowuje uczniów do kontynuowania nauki na wyższych uczelniach artystycznych oraz do pracy w zawodach, w których potrzebne są umiejętności plastyczne. W edukacji artystycznej Klaudii Gołębiewskiej szkoła



Artyści ziemi słupskiej

ta miała decydujące znaczenie. To tutaj odkryto jej talent i zaczęła kształtować się jej wizja artystyczna. Młoda artystka nabyła wiedzę z historii sztuki, rysunku, malarstwa, rzeźby. Specjalizowała się w fotografii artystycznej, która stanowi dla niej dalszą perspektywę twórczych zainteresowań.



Od 2010 roku Klaudia jest studentką Wydziału Wzornictwa na Politechnice Koszalińskiej. Teraz tutaj poszerza wiedzę o fotografii artystycznej oraz studiuje wzornictwo użytkowe. Projektuje meble, lampy, stroje. Maluje też obrazy i wykonuje grafiki. Jako młoda, dobrze zapowiadająca się artystka, nawiązała współpracę ze Słupskim Klubem Plastyka im. Stefana Morawskiego i bierze udział w wystawach. Jest jedną z najmłodszych artystek należących do tego klubu. Wzięła udział w tegorocznym Konkursie Plastycznym „Niekontrolowany Obszar Wrażliwości” i jej obraz zatytułowany „Serce babci”, namalowany techniką akrylu na płótnie, został doceniony nagrodą Starosty Słupskiego. Jest to pierwsza licząca się jej nagroda, o której z dumą opowiada.



Wspomniany pierwszy wernisaż młodej artystki odbył się 6 kwietnia br. i został zainspirowany premierą sztuki teatralnej „Ulica” w reżyserii Iwo Vedrala, według książki Daniela Odiji pod tym samym tytułem - granej w słupskim Nowym Teatrze. Pracą, która wzbudziła szczególne zainteresowanie jest obraz zatytułowany „Ulica Długa w Słupsku”. Jest on wynikiem kompilacji fotografii i nałożonego na nią koloru. Sfotografowana perspektywa ulicy z nałożoną barwą zwiększa ekspresję obrazu.

Artystka tak uzasadnia ten temat: - Ulica Długa jest miejscem wielostronnych inspiracji. Stała się wątkiem literackiej opowieści. Jest miejscem wielu legend prawdziwych i zmyślnych. Mieszkając na tej ulicy, chciałam zobaczyć ją na nowo, po wielu latach od mojego dzieciństwa. Użyłam narzędzia - aparatu fotograficznego. Fotografia uświadomiła mi niezwykłość miejsc zbudowanych - poprzez światło i nastrój. Pamięć ludzka jest inspirująca. Tworzy własną narrację - odkrywa napięcia, tajemnice czasu, odświeża minione emocje. Łączenie techniki graficznej i metody malarzkiej jest próbą mojej własnej opowieści o Ulicy, na której mieszkam. Długa jest jedną z tych ulic, jakich pełno w małym mieście.

Spore zainteresowanie wzbudził również obraz zatytułowany „Portret Cyganki”. Nawiązuje też do ulicy Długiej, którą zamieszkiwali kiedyś Romowie. Społeczność ta jednak dawno wyjechała ze Słupska. Oglądając tę pracę można podziwiać wielkie ambicje młodej artystki, która potrafiła pogodzić zaawansowane studia z realizacją twórczych dzieł przy wykorzystaniu swojego talentu. Najbliższe plany to napisanie pracy magisterskiej i jej obrona w przyszłym roku. A plany artystyczne? To ciągle poszukiwanie własnego miejsca, stylu i wyrazu twórczego, aby zostać wziętą malarką.

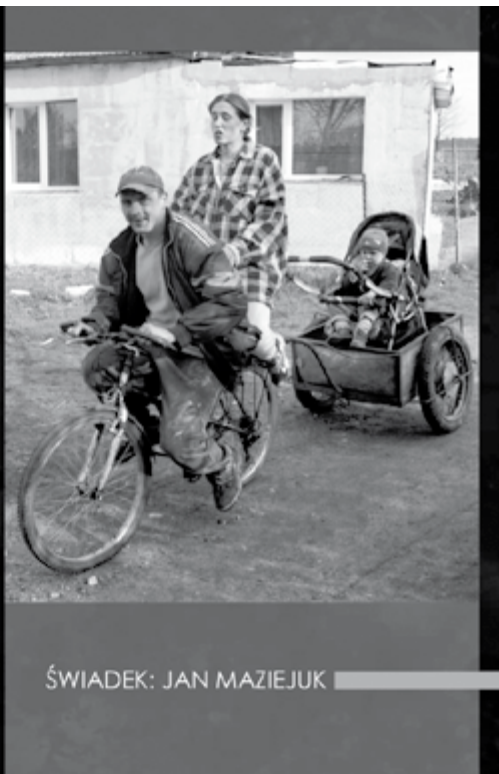
Klaudia Gołębiowska, poza pasjami artystycznymi, uwielbia śpiewać w zaciszu własnego mieszkania. Muzyka towarzyszy jej każdego dnia. Bardzo lubi też czytać książki oparte na faktach, a także różnego rodzaju tzw. literaturę kobiecą. Jej hobby, poza malarstwem, to hodowla patyczaków. Na razie ma ich tylko dziesięć, ale ma nadzieję, że niedługo pojawią się kolejne.

Tak pokrótce przedstawia się młoda osobowość studentki - początkującej artystki, dojrzewającej do wielkiego skoku artystycznego, należącej do pokolenia potrafiącego docenić swój talent. Ona wie, że bez pracy organicznej, talent jej może szybko zaginąć. Bo talent to wielki dar, mający ogromny wpływ na rozwój osobowości twórczej, ułatwiający kształcenie umiejętności, uwrażliwiający na piękno i wychowanie estetyczne. Talent w połączeniu z pracą daje profesjonalne przygotowanie zawodowe.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

UWIECZNIONE CHWILE

ŚWIADEK: JAN MAZIEJUK



Świadek historii

Jan Maziejuk, emeryt, nestor słupskich fotografików wydał swój najnowszy album w nakładzie zaledwie 50 egzemplarzy - za wszystkie zaoszczędzone, pozbierane pieniądze. Na tyle było go stać.

Album jest niezwykły. J. Maziejuk zebrał w nim swoje najlepsze zdjęcia reporterskie z ostatnich kilkunastu lat. Wprawdzie w rozdziale „Świadek historii” są też zdjęcia z lat 80. ub. stulecia, a w rozdziale „Moje korzenie” z lat jeszcze wcześniejszych, ale w albumie dominują te najnowsze. Poznajemy w nim Jana Maziejuka - najstarszego fotoreportera na Pomorzu Środkowym, a na ziemi słupskiej na pewno (!) jeszcze jako: „Świadka emocji”, „Świadka przyrody”, „Świadka pasji”, „Świadka morskich klimatów” i „Świadka życia”.

W najnowszym jego albumie „Uwiecznione chwile” oglądamy dziesiątki zdjęć, a każde zaskakuje tematem, sposobem jego ujęcia i w ogóle zauważenia, podpatrzenia w szybko toczącym się i przemijającym życiu. Trzeba dodać, podpatrzonych tematów i sytuacji bardzo często niezwykłych, niekiedy niewyobraźalnych. Mamy znowu utrwalone sylwetki wielu ludzi nam bliżej

znanych lub w ogóle nieznanymi, ale po obejrzeniu zdjęć, nam na pewno nie obojętne. Mamy w całym albumie zdjęcia, od których trudno ode-



rwać wzrok, których nie sposób nie komentować, i nie podziwiać. Fotograficzny kunszt J. Maziejuka z całą pewnością nie przemija, przeciwnie jest jeszcze bardziej doskonały, a oko fotoreportera, mimo przecież z wiekiem pogarszającego się wzroku, jest nadal wyostrzone, dociekliwe. Tylko - tu może dodałbym z autopsji, bo przecież znamy się nie od dziś - coraz częściej zawodzi go sprzęt, a na nowy lub na częste jego drogie naprawy, emeryta Maziejuka już nie zawsze jest stać. Mimo to, nie wiadomo jakim cudem, zdjęcia jakoś powstają, wciąż zachwycają swym fotograficznym ujęciem, niezwykłą mądrością fotoreporterskiego przekazu.

Jan Maziejuk zdradził, że na ten najnowszy album, liczący 108 stron formatu A 4 (wielkość kartki papieru maszynowego), w twardej oprawie, na te zaledwie 50 jego egzemplarzy, wydał całą nagrodę, jaką otrzymał od marszałka województwa pomorskiego, kilka innych mniejszych nagród i oszczędności. Jak każdy człowiek ma wiele innych potrzeb, na które mógłby przeznaczyć te pieniądze, ale postanowił inaczej. Mówi, że nowy album musiał powstać!

Tak się szczęśliwie złożyło, że pomógł mu go zredagować znany dziennikarz - Marcin Barnowski i swoją pomoc przy wydaniu zaoferowała Miejska Biblioteka Publiczna w Słupsku. Rolę wydawcy wzięła jednak na siebie firma Rewa Joanna Barnowska z Ustki. (ZBZ)



Osobiście. O albumie „Uwieczone chwile”

Kolejny album Jana Maziejuka pod tytułem „Uwieczone chwile” jest osobistym podsumowaniem dorobku autora. Osobistym w każdym słowa znaczeniu. Jest podsumowaniem sześćdziesięciu lat pracy z aparatem fotograficznym legendarnego słupskiego fotoreportera urodzonego w 1938 roku w Jagodnicy na Podlasiu.

Osobistym również dlatego, że wydanym za własne cztery tysiące złotych w bibliofilskim nakładzie 50 egzemplarzy. Zamysłem autora - świadka - według określenia redaktora Marcina Barnowskiego - rejestrującego zdarzenia najpierw na światłoczułej kliszy, później nierozstającego się z cyfrowym nikonem, było zebranie dorobku i podziękowanie przyjaciołom, do których książka trafiła. Poczulałam się wyróżniona, kiedy w okolicy Wielkanocy 2016 roku otrzymałam pocztą album z autografem.

Na pierwszej, białej karcie, znajduje się ex libris Jana Maziejuka wykonany przez Romanę Małecką, poetkę i plastyczkę z Wtorkowych Spotkań Literackich. Ósrodkiem plastycznego projektu jest surrealistyczna postać z sześciopalczystą dłonią trzymająca aparat fotograficzny z okiem zamiast obiektywu. Metaforyczny skrót plastyczny dobrze oddaje istotę zainteresowań autora. Obok autor umieścił



Fot. J. Maziejuk

motto - fragment wiersza Jadwigi Tyrańkiewicz (1923 - 1997), z którą łączyła go przyjaźń jeszcze w czasach „miasteczek”:

*„Pamiętajmy
że świat z nami
nie kończy się.
Co mu zostawimy*

*Na pamiątkę to
za mało
Na życie”*

Świadomość przemijania towarzyszy Janowi Maziejukowi, a zbiór fotografii przedstawionych w albumie „na pamiątkę” nie oddaje pełni życia autora, dotyka jedynie spraw, które je wypełniały. Świadomość ulotności chwili jest immanentnie wpisana w fotograficzną narrację, określa zamiar, od którego zaczyna się tworzenie obrazu, a to, co dalej następuje, wynika z tego zamiaru właśnie, stanowi jego osobistą kreację. Tak właśnie: Jan Maziejuk tworzy fotograficzne opowieści, nadając zwykłemu zdarzeniu, pospolitym czynnościom poetycki, niemal metaforyczny walor. To tak jak w pracy pisarza, łączą się epizody i wątki, z tym że fotografia posługuje

się własnym językiem, często świadomie zubożonym do palety odcieni bieli i czerni. Problem ten we wstępie do albumu „Uwieczone chwile” rozwija wieloletni szef i przyjaciel autora Wiesław Wiśniewski: „(...) rzeczywistość sygnowaną na zdjęciu ledwo naszkicowanymi szczegółami (...) odbiorca - zależnie od swej wiedzy, wrażliwości i wyobraźni - wypełni resztę.” Dyskutowałabym z autorem wstępu „Tamte klimaty - odczytywane z okrucichów większej całości” panem Wiesławem Wiśniewskim, czy narracja, którą opatrzył zdjęcie księdza ze strony 53. nie jest przekroczeniem autorskiego zamysłu. Metaforę, niedopowiedzenie łatwo zbrukać, skazić, zbanalizować zbyt prostym, często nieuprawnionym, odczytaniem rzeczywistości.

Fotografie Jana Maziejuka są interesujące, znaczące, ponieważ mają walor niedopowiedzenia i wyraźną puentę. Tajemnica ulotnej chwili, niepowtarzalnego gestu została „uwieczniona” w kształcie, jaki nadał jej autor. Jest zamkniętą kadrem opowieścią z metaforycznym kontekstem. Odniesienia do zdarzeń poza kadrem prze-



Fot. J. Maziejuk

stają się liczyć, bo rzeczywistość została przeniesiona fotograficznym zapisem w inny (historyczny bądź uniwersalny) wymiar.

Dwieście czterdzieści czarno-białych fotografii na stu czarnych stronach albumowego wydawnictwa autor Jan Maziejuk i redaktor Marcin Barnowski ułożyli w kręgi tematyczne, pomijając porządek chronologiczny. Autor przyznaje, że zmieniał pierwotny zamysł, dostosowując wydawnictwo do potrzeb „taniego druku”. Poznajemy najpierw „Moje korzenie”. Fotografie przedstawiają rodziną wieś Jagodnicę, lecz walor osobisty otrzymuje tu charakter uniwersalny. Obrazy z połowy dwudziestego wieku skrzą się realiami: pod domem ze strzechą stoi kultura warszawa, obok fotografia z konnym zaprzęgiem. Jest też panna młoda, muzykanci i gospodyni pilnująca ognia pod kuchnią, są wysokie poduchy, święty obraz, plecione kosze wypełnione cebulą. Osobiste relacje, rodzinny charakter fotografii wnosi do obrazu wiejskiego świata ciepło i serdeczne patrzyenie. Dla odbiorcy takiego jak ja to obraz własnego rodzinnego domu, bo siłą tych fotografii jest akceptacja życia takim, jakie było, dostrzeżenie jego urody w prostocie sprzętów, zdarzeń, sylwetek, twarzy.

Kolejny cykl zatytułowany „Reporter - Świadek historii” został podzielony na rozdziały: „Premierzy”, „Życie codzienne regionu pod przewodnictwem różnych partii”, „Życie w PRL-u”, „Transport własny”, „Życie codzienne w latach 80.”, „Targ w Kościerzynie, początek XXI w.”, „Rok 2013. Rekonstrukcja wojennej historii Ustki na Bunkrach Blüchera”, „Młodzież w obronie szkoły: Słupsk: 2015 r.” Historyczny obraz Polski prowincjonalnej „uwieczniony” reporterskim okiem Jana Maziejuka został ułożony z pięćdziesięciu pięciu zdjęć, które autor wybrał z osobistego archiwum. Niektóre były publikowane w prasie, o wyborze do publikacji w albumie decydował również respekt dla prawa prasowego. Zgodę na publikację wizerunku najłatwiej uzyskać od bliskich, dlatego wtajemniczeni na zebranych zdjęciach odnajdą członków rodziny autora, co nie umniejsza wartości fotografii. Wszystkie są świadectwem reporterskiej pasji Jana Maziejuka, reportera, który jest wszędzie bez względu na porę i okoliczności. Potrafi kadrem wyłowić z natłoku ob-

razów niepowtarzalne - paradoksalnie - w swej powtarzalności. Szczególnie barwne, dynamiczne, o charakterystycznym dla swego czasu klimacie są zdjęcia ulicy, zarówno w rytmie codziennego życia, jak i odświętnych nastrojach.

Dokumentując rzeczywistość Jan Maziejuk opatrywał zdjęcia sarkastycznym poczuciem humoru. Obrazy z powszechnymi w tamtych

wania narracji. Uroda to nie banalne, powierzchowne piękno. Jan Maziejuk szuka istoty osobowości swoich bohaterów w wyrazie twarzy, spojrzeniu, geście. Ostatnie zdjęcia tego cyklu zrobione były w 2015 roku w Słupsku. Przedstawiają młodych ludzi, uczniów szkoły budowlanej, broniących prawa do nauki w wybranej szkole. Dynamikę zdarzeń, nastroje, reporter tworzy ujęciami, kadrowa-



czasach hasłami sławiącymi ustrój reporter fotografował prześmiewczo. Taki charakter mają zdjęcia ze strony 14., szczególnie to z hasłem „Socjalizm przyszłością narodu” z mężczyzną w waciaku ciągnącym dziecięcą wózek wyladowany w stos rupieciami na pierwszym planie. W ten sposób fotografia, z natury rzeczy ujmująca statyczny obraz, pokazuje dynamikę zdarzeń, nastroj ulicy, społeczny komentarz. Twarze, gesty, mimika są dla autora zdjęć sposobem budo-

niem, planami. Fotografie młodych ludzi, bohaterów fotoreportażu, są kwintesencją ich emocji. Nie wiem, czy potrafili obronić szkołę. Wartością fotografii jest jej ponadczasowy charakter. Ten fotograficzny reportaż jest opowieścią o sile, odwadze młodości.

Emocje - od religijnych uniesień, jak te na fotografiach z 1982 roku wykonanych pod „płaczącym” krzyżem przed kościołem Mariackim w Słupsku, przez radość zwycięstwa w zawo-

dach strażackich, aż do żywiolu tańca - są tematem kolejnych fotografii zamieszczonych w albumie. Interesujący jest nie tylko temat fotografii. Jego waga wynika ze sposobu ujęcia, kadrowania, ostrości planów. Wszystko tworzy jedność, tak powstaje opowieść o ludzkiej naturze. Kim są bohaterowie tych zdjęć? Z pewnością mają imiona i nazwiska, zdjęcia zostały wykonane w konkretnej sytuacji,

ce. Zwierzęta w wiejskiej zagrodzie są jak domownicy, stąd fotografia chłopca, który razem z koniem zjada jedną kromkę chleba, i zdjęcie wnuka Huberta odpoczywającego ze źrebakiem na trawie. Ileż w tych fotografiach dziecięcej radości, prostoty, uśmiechu!

Myszę, że Jan Maziejuk w jakiejś części zachował w sobie dziecko, jakąś dziecięcą wrażliwość, chęć zro-

bienia chłopięcego psikuska. Stąd w jego dorobku znaczący album „Dziecko” i szczególnie umiejętność fotografowania dzieci. W albumie „Uwieczone chwile” na stronie 44 i dalszych, zamieszczone zostały fotografie dzieci w zabawie, w sytuacjach rodzinnych, ze zwierzętami, w zawodach sportowych. Temat sam w sobie wdzięczny, ale fotoreporter ze Słupska poza wizerunkiem dziecka opowiada o jego pasjach, emocjach, marzeniach. W kadrze błyszczą oczy, a spojrzenie, układ ust wyrażają nastój. Fotografie opisują dziecięcy świat.

Bohaterami fotoreportażu o pasjach są Czesław Guit z Lubunia i Gerard Treder ze Słupska. Pierwszy jest malarzem, felietonistą, poetą. Postać sama w sobie malarska: drobny mężczyzna o twarzy okolonej białymi włosami i brodą siedzi z założonymi rękoma na krzeselku na tle obrazów na szkle. Może właśnie miłość do koni zainteresowała fotografika? Fotografie obrazu Czesława Guita z konnym zaprzęgiem w czasie zrywki drewna Jan Maziejuk zamieścił w fotoreportażu o pracy malarza. Wśród ludzi pasji

znajdziemy fotografie malarza marynisty Gerarda Tredera - w różnych sytuacjach: w pracowni podczas malowania, w czasie prezentacji własnych prac, podczas spotkań autorskich. Jakże mogłoby być inaczej, fotografia jest pasją Jana Maziejuka, rozumie zatem sobie podobnych najlepiej.

Wydawałoby się, że zaburzenie porządku chronologicznego w albumie „Uwieczone chwile” wprowadzi chaos narracyjny. Rozumiem jednak głębszy zamysł autorów układu tematycznego. Fotografia przekracza granice historii, jest wciąż opowieścią o różnych odcieniach zwyczajnego życia, pasjach i emocjach. Historia w nią wpisana jest wartością dodatkową.

Album kończą fotografie procesji Bożego Ciała w Redzikowie, najdłuższej, bo dziesięciokilometrowej procesji w Polsce. Redzikowo pojawia się ostatnio w prasie w innym kontekście, Maziejuk przywraca miejscu tradycyjny charakter, pokazując pejzaże i ludzi w tradycyjnym wspólnotowym obrządku.

Wydawnictwo jest dla autora okazją do przypomnienia dotychczasowej aktywności fotoreporterskiej i wydawniczej. Na stronach 90 - 100 zamieścił fragmenty recenzji wystaw i wydawnictw. Dalej są fotografie medali i odznaczeń, tytułowych stron dotychczasowych wydawnictw i przewodników wystaw.

Album zamyka fotografia grupy przyjaciół z Miastka, którzy pozostali już tylko w pamięci autora. Na tle fotografii zamieszczona została stopka redakcyjna, żeby było jak trzeba i żeby do końca wypełnić miejsce.

Danuta Sroka, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku zamyka autorską albumową opowieść zdaniem, które wskazuje drogę Czytelnikom wydawnictwa. „Jan Maziejuk wiedział, że czas nie stanie w miejscu, nie będzie na niego łaskawie czekał, dlatego też nigdy nie obrażał się na życie, tylko chwycił umykające chwile na zawsze zatrzymując je w fotograficznych kadrach. I nadal korzysta z czasu, pracując, nie czekając na „mannę z nieba”.

Jan Maziejuk jest po prostu dobrym człowiekiem. Jego pasja, umiejętność postrzegania świata, dusza społecznikowska oraz wiedza fotograficzna pozwoliły na przekroczenie barier, dla wielu niedostępnych”.

Nic dodać, nic ująć!

Czesława Długoszek, Objazda

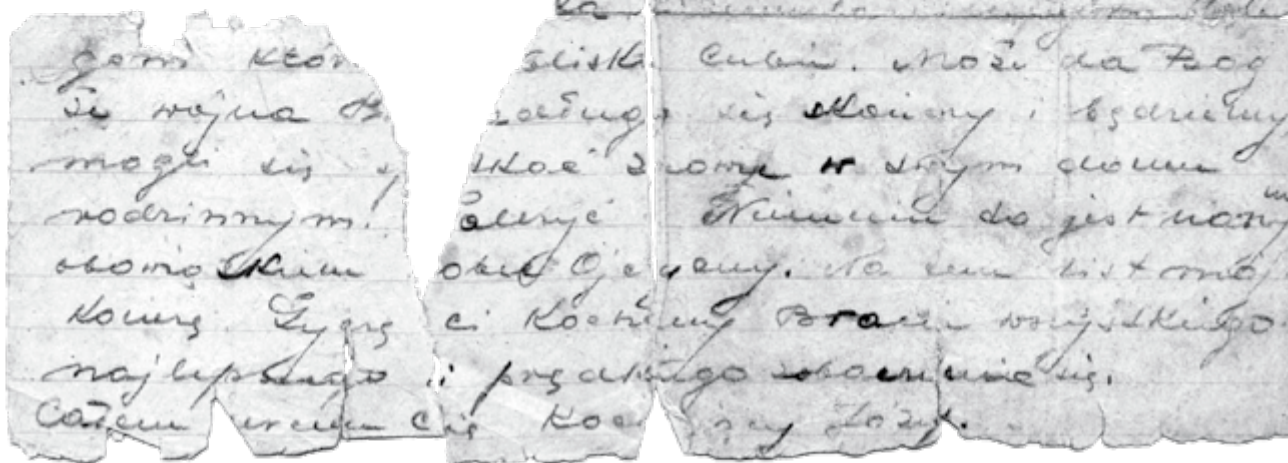


lecz pozafotograficzny kontekst nie ma już znaczenia. Reporter opowiada o ludziach bez względu na wiek: odkrywa naturę, potrzebę uniesień, radości, poczucia wspólnoty.

Jan Maziejuk jest dzieckiem wsi, zatem nie dziwi, że życie wiejskiej zagrody potrafi pokazać z czułością i wdziękiem. Cykl zdjęć ptaków, kóz i koni, tych w uprzęży i na salonach, tak, tak, to prawda. Na stronie czterdziestej jest zdjęcie konia, który... zastanawia się jak się ułożyć na wersal-

Nikogo nie obchodzi

W kufierku po sztuccach mam kilka przyznanych memu ojcu odznaczeń, którymi Ojczyzna dziękowała swym żołnierzom za udział w walkach. Ojczyzna bywa chimeryczna. Owe blaszki nic nikogo nie obchodzą, bo peerelowskie honory raczej należy schować.



Perspektywa historyczna

10. Dywizja Piechoty zwana „Su-decką” została sformowana w końcu 1944 roku w Rzeszowie i do końca wojny działała pod dowództwem 2. Armii, w jej skład wchodził między innymi, szczególnie mnie interesujący - z uwagi na bohatera tego tekstu - Grzegorza Turka - 29. pułk piechoty. Sztandar dywizja otrzymała 14 stycznia 1945 roku w Rzeszowie. Był z płótna. Na czerwonej stronie wyhaftowano napis: „Za naszą i Waszą wolność” - 10 Dywizja Wojska Polskiego, a między napisami wyhaftowany był orzeł. Na odwrotnej białej stronie widniał obraz Matki Bożej Częstochowskiej i nad nim napis: „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

W styczniu 1945 roku dywizja przeszła do Katowic, pełniąc część sił służbę wartowniczą w Kielcach, Krakowie, Oświęcimiu i na Górnym Śląsku. Następnie przeszła w rejon Puszczy Barlineckiej. Dowodzili nią w okresie od marca do 16 kwietnia 1945 roku - płk Dymitr Dubienko, zdjęty ze stanowiska ze niekompetencji i brak zrozumienia czekającego dywizję zadania, a od 17 kwietnia 1945 roku do 13 stycznia 1946 roku - płk Aleksander Struc.

Zgodnie z rozkazem dowódcy 2. Armii Wojska Polskiego jednostki

polskie przegrupowały się w nocy z 14 na 15 kwietnia. 10. Dywizja Piechoty zajęła pozycję na prawym skrzydle 2. Armii. 16 kwietnia, w poniedziałek, o godzinie 4:15 pod Rothenburgiem zagrzmiała salwa „katusz.” Rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie przed forsowaniem Nysy.

29. Pułk Piechoty walczył o zdobycie przyczółku na Nysie, bił się w lasach Muskauer Forst nad Szprewą w rejonie Nelkenberg i Spreefurt. 10. Dywizja Piechoty zajęła odcinek od Młotów do rejonu 1 kilometra na południe od Bucze, dalej 29. Pułk Piechoty - do Sanic. Po zdobyciu pierwszej transzei musiał wycofać się na wschodni brzeg rzeki, tracąc 89 poległych, 94 rannych i 20 zaginionych. W okresie od 11 kwietnia do 3 maja 1945 roku dywizja straciła 518 poległych, 356 zaginionych i 1767 rannych.

Gdzieś tam, 16 kwietnia 1945 roku, w poniedziałek, dwa tygodnie po Wielkanocy poległ dwudziestoletni Grzegorz Turek, syn Sebastiana z Plebańc. „Księga poległych” nie precyzuje miejsca śmierci ani pochówku. Przyczyną niepowodzenia w forsowaniu rzeki były: brak dostatecznego rozpoznania, błędy w dowodzeniu i przygotowaniu dywizji, jak i obiektywne: nacierała

na szerokim, bo aż dwudziestokilometrowym odcinku frontu, w trudnym terenie, wykonując oddzielne uderzenie, a nie dysponowała żadnym wsparciem czy wzmocnieniem ze strony armii. W tej sytuacji szybki sukces był raczej niemożliwy. Dla Grzegorza świat przestał istnieć, czas się zatrzymał, kolejne dni walk nie należały do niego. Pozostał nad Nysą na zawsze.

Na stronie internetowej odnalazłam informację o miejscu pochówku i fotografię żołnierskiego grobu Grzegorza Turka na Centralnym Cmentarzu 2. Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu. Dziękuję Autorowi Tomaszowi Bogielowi za wykonanie alfabetycznego spisu kwater i zdjęć tabliczek imiennych (wykonane w okresie od czerwca do sierpnia 2009 roku; zdjęcia cmentarza z lat 2002 - 2009) i udostępnienie materiału na stronie internetowej. Wśród mogił poległych kilkudziesiąt oznaczono znakiem NN lub tylko znakiem dywizji. Grzegorz miał szczęście?

Na cmentarzu wojskowym w Zgorzelcu spoczywa 3420 poległych żołnierzy polskich, którzy zginęli wiosną 1945 roku w czasie forsowania Nysy Łużyckiej, w drodze na Drezno i pod czeski Melnik. Nie ma

wśród nich Józefa Turka, poległego 3 maja pod Cammerau. Gdzie jest jego mogiła?

W rocznicę operacji łuzycyjskiej każdego roku 16 kwietnia na Centralnym Cmentarzu 2. Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu odbywają się upamiętniające uroczystości organizowane przez władze miasta. W poprzednich latach w obchodach 69. rocznicy forsowania Nysy Łuzycyjskiej uczestniczył prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski, w 70. rocznicę, uczestniczyli w nich między innymi Grzegorz Schetyna - jako minister spraw zagranicznych i przedstawiciele Sejmu oraz Senatu. Uroczystości 71. rocznicy forsowania Nysy Łuzycyjskiej w roku 2016 odbyły się 16 kwietnia o godz. 12:00.

Perspektywa osobista

Z listu Lolka: „We wrześniu 1944 roku Adam i Józef (oraz siedmiu innych chłopców z Plebańców - cdl) zostali powołani do formującej się 2 Armii. W tym miejscu chciałbym wspomnieć o okolicznościach, które poprzedziły to wydarzenie. Armia

go w brutalny sposób. Tylko dzięki patriotycznemu oporowi nie zostaliśmy wcieleni do Armii Czerwonej. Już wtedy wiedzieliśmy o tworzeniu polskich jednostek i to było jednym z dodatkowych bodźców przetrwania.

We wrześniu 1944 roku wykonani fizycznie i moralnie, zostaliśmy przetransportowani w podobny sposób jak poprzednio do Polski, do wsi Dojlidy koło Białegostoku. Tu otrzymaliśmy polskie mundury, był to zapasowy 6 Pułk Piechoty. Czas do wczesnej wiosny 1945 roku upływał pod znakiem intensywnego szkolenia wojskowego. O ile pamiętam, byli tam wszyscy znajomi z Plebańc. Tam ciężko zachorowałem i przez to nie znalazłem się w pierwszej fazie rozdziału do poszczególnych jednostek frontowych. W tych warunkach ostatni raz, niestety, widziałem się z Józefem i Grzegorzem.”

Z frontowego listu Józefa do brata Adama: „Za kilka godzin ruszamy (...) się nie przejmuję (...). Może da Bóg, że wojna niedługo się skończy i będziemy mogli się (...) znowu spotkać w swym domu rodzinnym. Wal-

Według sprawozdawczości wojskowej front znajduje się na linii Sommerfeld (kierunek Berlin!), Żory, Bolesławiec, Złotoryja. Faktycznie jest on dużo dalej. Wrzawa wojenna jest w odległości słuchu, szacujemy ją na około 20 km, tj. koło Lubania, ewentualnie Pieńska (16 km). Przepelniony Gorlitz czeka na nakaz ewakuacji. Każdy o tym wie, ale nikt nie wie dokąd pójść. Ulice są zatłoczone. Pociągi mogą zabrać tylko małą liczbę pasażerów - prawie bez bagażu. Los kobiet oczekujących potomstwa i matek z niemowlętami jest przerażający. Uciezka prowadzi ich prawdopodobnie do śmierci (ziąb, brak mleka), ale nacierające wojska radzieckie nie pozostawiają wyboru. Blade i wycieńczone ze strachu stoją przede mną i proszą: Proszę księdza, proszę pomóc, proszę niech nam ksiądz poradzi! Zamustrowano także i starszych panów do Volkssturmu (obrona cywilna). Państwowi urzędnicy nie cieszą się najmniejszym zaufaniem. Kościół zostaje ostatnią deską ratunku. Gdyby można było czynić teraz cuda w zakresie udzielenia pomocy!

Wczoraj wieczorem pocieszyli się mieszkańcy Gorlitz radosną wiadomością, nadaną przez sprawozdawczość wojskową: natarcie między Żorami i Bolesławcem odepchnięte. Dzisiaj rano otrzymuję o godz. 6.45 w zakrystii wiadomość, że obowiązkowa zbiórka wszystkich kobiet i dzieci wschodniej części miasta w celu ewakuacji jest o godz. 9.00 na placu Fryderyka (...). Pochówek świętych naczyń i szat liturgicznych. Nad Dreznem ogień, jak gdyby świat się kończył. Wojenna wrzawa w zasięgu słuchu. Chaotyczne nakazy ewakuacji, wyprzedaż, terror, egzekucje, samoloty szturmowe, pośmiertny strach - odmawiamy Drogę Krzyżową. Zabezpieczamy naczynia święte i wartościowe przedmioty, umieszczając je w korytarzach grzewczych i piwnicy naszego kościoła. To przypomina nam „złożenie do grobu”.

Z „Księgi poległych na polu chwały”: (TUREK GRZEGORZ s. Sebastiana, ur. 1925 r. w m. Plebańce, rej. Braślaw, szer. 29 pp, poległ 16 IV 1945 r. nad Nysą. CAW, III-127/56, s. 269).

Komentarze internautów:

Marian Borodzicz: Dziękuję INTERII za Pamięć o Żołnierzach 1. i 2. Armii Wojska Polskiego. Dziękuję



Czerwona (...) zarządziła mobilizację mężczyzn, pod bezwzględny rygor. W konwoju pieszym doszliśmy do Nowej Wilejki (koło Wilna), skąd towarowymi wagonami wywieziono nas w głąb Rosji, do miejscowości Władimir nad rzeką Kłazmą, gdzie próbowano szkolić, ale były to ciężkie roboty przy budowie ziemianek do zamieszkania. Głód, brud z jednoczesną dyskryminacją polskość. Nie godziliśmy się na przyjęcie rosyjskiego umundurowania, stąd dokonano te-

czyć z Niemcami jest naszym obowiązkiem wobec Ojczyzny. Na tym list mój kończę. Życzę Ci Kochany Bracie wszystkiego najlepszego i prędkiego spotkania się (...).”

Po przeciwnej stronie:

Franz Schulz: DZIENNIK GORLITZ-ZGORZELICE-ZGORZELEC 1945 - 1946 (Górlitzer Tagebuch 1945/1946, Würzburg 1975.). Miejsce wydarzeń: „Kościół parafialny pw. św. Bonifacego w Górlitz-Ost.

za Pamięć o dniu 16 kwietnia 1945 roku. Mój zmarły Ojciec był ranny podczas forsowania Nysy Łużyckiej w Toporowie. Wieczna Pamięć i Chwała Żołnierzom Ludowego Wojska Polskiego.”

Mirosław Pawłoś, Chełm: Chwała bohaterom Ludowego Wojska Polskiego, o których teraz się nie pamięta podczas uroczystości państwowych oraz zapomina się o tak ważnych bitwach stoczonych od Lenino do Berlina.”

Gość: ze Szczecina, 4 czerwca 2015 roku, 21:24: „Chylę moją siwą głowę przed tymi poległymi polskimi żołnierzami. Bohaterom wszystkich bitew czy to na Westerplatte, pod Narwikiem, Tobrukiem, nad Anglią, pod Lenino, Monte Cassino, Arnhem, forsowaniem Wisły pod Dęblinem, bitwy o Kołobrzeg i Wał Pomorski, forsowaniem Odry pod Kostrzynem i Siekierkami, forsowaniem Nysy Łużyckiej, bitwy o Budziszyn i Drezno, zdobywaniem Berlina i Bramy Brandenburskiej - wszystkim Bohaterom jest należna równa cześć i chwała za straconą młodość i przelaną krew dla Ojczyzny i Wolności następnych pokoleń Narodu! Dziękuję władzom i mieszkańcom Zgorzelca za dbanie o tę nekropolię godną Bohaterów tamtych czasów.”

Refleksja osobista

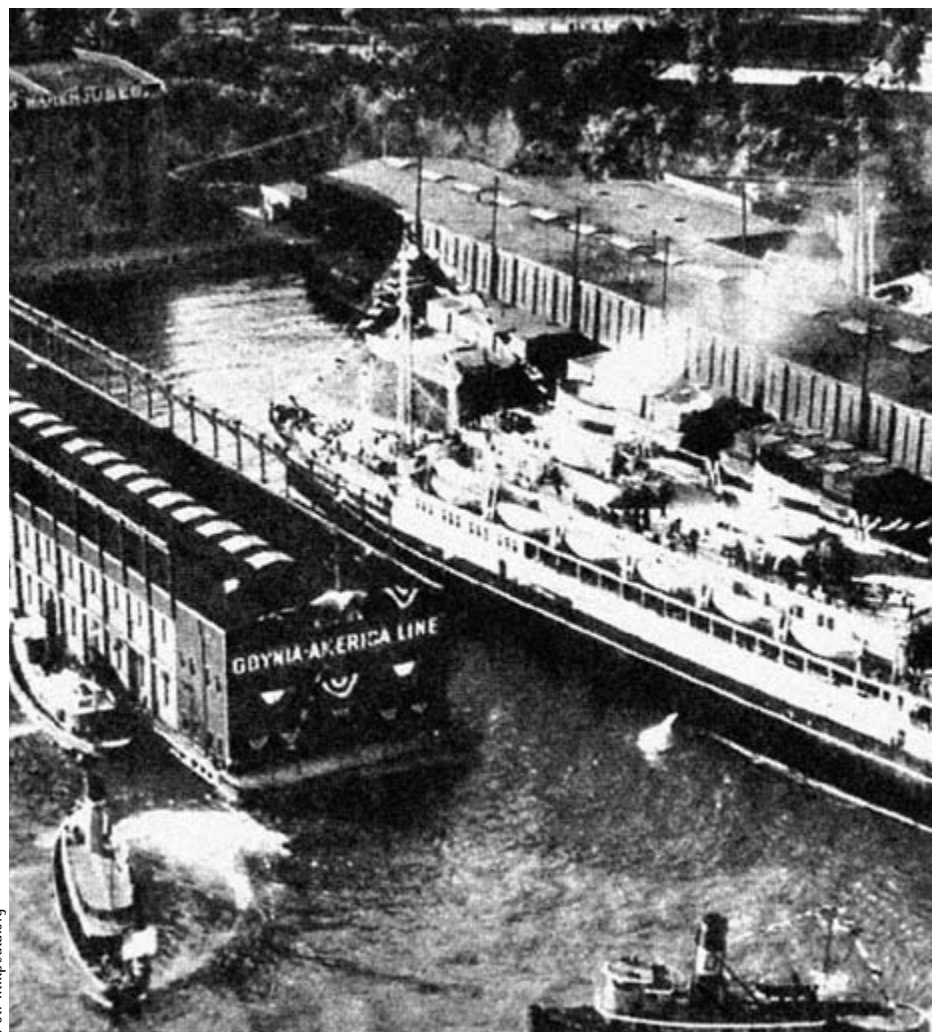
W kuferku po sztućcach mam kilka przyznanych memu ojcu odznaczeń, którymi Ojczyzna dziękowała swym żołnierzom za udział w walkach. Ojczyzna bywa chimeryczna. Owe blaszki nic nikogo nie obchodzą, bo peerelowskie honory raczej należy schować. Polegli nad Nysą, pod Commerau i wielu miejscach bitew coraz mniej kogokolwiek obchodzą. Nastal czas nowych bohaterów. Nie to, że-bym miała za złe czczenie pamięci wszystkich po drugiej stronie życia. Powtórzę słowa internauty ze Szczecina: „wszystkim Bohaterom jest należna równa cześć i chwala za straconą młodość i przelaną krew dla Ojczyzny i Wolności następnych pokoleń Narodu!”

Czesława Długoszek, Objazda

Ps. W 1961 roku powstał film „Kwiecień”, o przygotowaniach do forsowania Nysy, w reżyserii Witolda Lesiewicza. (cdl)

„Batorym” do „Hameryki”

Kiedy wyprawiali się za Wielką Wodę żegnała ich cała wioska, zanoszono modlitwy do nieba. Podróż obfitowała w wiele przygód. Sztorm trwał całą noc i następny dzień.



Fot. wikipedia.org

Zwykle rejs „Batorym”, który wypływał z gdyńskiego portu trwał jedenaście dni. Pan Andrzej Knapczyk z Miętustwa pamięta kilka szczegółów podróży do „Hameryki” - jak mawiają na Podhalu. - Samo wyprawianie się na statek zajmowało sporo czasu. Żegnano nas, jakbyśmy mieli już nie wrócić. Ksiądz odprawiał mszę w kościele. Chodziliśmy od domu do domu, pytaliśmy o radę tych, którzy już płynęli. Józek Miętus z Czarnego Dunajca powiedział mi, że-bym nie jadł wszystkiego co dają, bo zaczną się problemy z brzuchem - śmieje się pan Andrzej.

Ech, te wieczory kapitańskie...

W podróży pociągami z Nowego Targu do Gdyni towarzyszyli mu najbliżsi. Już w porcie pasażerów bardzo hucznie żegnano. Była kapela góralska, nadbaltycki wiatr niósł w otchłań morską dźwięki regionalnych przyspiewek.

Od początku Andrzej Knapczyk wziął sobie do serca rady swojego kolegi z Czarnego Dunajca. Nie jadł za dużo, ale byli i tacy, którzy wręcz się „napychali”. - Szybko zachorowali i leżeli w swoich kajutach. Maryna-

rze przynosili mi suchary i wodę. Ale mieliśmy i swoje sposoby na szybkie wyzdrowienie. Kilka kieliszków wódki z domieszką pieprzu - śmieje się pan Andrzej, góral z Miętusowa.

Stefania Dzielska z Czarnego Dunajca wylicza, że w ciągu dnia na „Batorym” było pięć posiłków. Zawsze siedziało się przy tym samym stoliku. - Od razu wiedzieliśmy kogo dopadła choroba morska, bo nie przychodził na posiłek...

Z koleżanką z kajuty codziennie



chodziła na msze święte. - W kajucie wybrałam górne łóżko, bo jej ciężko byłoby się tam wystyrnać - dodaje pani Stefania. - Inne pasażerki niemal codziennie biegały do fryzjera, bo i on był na pokładzie. Powód? Wieczory kapitańskie, dancingi. Jak się im któryś marynarz podobał, to zaraz się stroiły - śmieje się góralka.

Andrzej Knapczyk spędzał wiele czasu na grze w ping-ponga. - Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie byłem na takim wieczorze. Piękna muzyka, orkiestra. I te stoły tak jedzeniem przystrojone. Po prostu oczy nam białeły - zaznacza. - Nie każdy mógł

wejść na kapitański wieczór. Trzeba było mieć specjalne zaproszenie. Mój współpasażer miał jakieś wtyki u kapitana i załogi. Cały czas u nich przesiadywał.

Statek bardzo trzeszczał

Kiedy pewnego dnia w czasie rejsu Andrzej Knapczyk wyszedł na spacer na pokład statku, zauważył, że marynarze przywiązują linami niektóre przedmioty. - Najgorsze było dopiero przed nim i przed innymi pasażerami. Rozpoczął się trening ratowniczy, jak najszybciej przejść do szalupy. Osoby, które spały na górnych łóżkach miały przywiązać się specjalnymi pasami. Wydawało się, że jednak nic nie będzie. Poszliśmy spać, panowała dziwna cisza - wspomina pan Andrzej. - Niestety, pierwsza oznaka sztormu pojawiła się kiedy w okna szalup zaczęła mocno uderzać woda. Jak się budzę, to do dzisiaj pamiętam tamtą noc. Trwało to w nieskończoność. Wydawało się, że koniec z nami. Jeden z pasażerów, który dziesięć lat nie przystępował do spowiedzi, pobiegł szybko do księdza.

Choć pani Stefania Dzielska płynęła innym rejsiem, to też dobrze pamięta sztorm. - Wszędzie słyszałam modlitwy. Jedni odmawiali różaniec, inni godzinki. Były też wrzaski osób, które pospadały ze swoich łóżek, bo się nie zapięły - opowiada.

W czasie rejsu pana Andrzeja, marynarze sprawdzali kajuty, czy gdzieś nie doszło do przecieków. - Statek bardzo trzeszczał i przechylał się. Fale miały nawet dwanaście metrów. To tak jakby woda zalała cały pobliski Wierch Domański - porównuje góral z Miętustwa. - Załoga pocieszała pasażerów, że na pomoc wypłynęły już statki z kanadyjskiego wybrzeża i wyleciały także helikoptery...

W czasie rejsu jedyny przystanek był w Kopenhadze. - To było piękne przywitanie. Zabrzmiał nasz hymn. Wielkie i niesamowite wzruszenie. Noszę je w sercu do dziś - opowiada pani Stefania. Z kolei pan Andrzej ubolewa nad tym, że nie można było wyjść na ląd i dokonać zakupów. Choć były rejsy, gdzie pasażerom się to udawało. Góralka z Czarnego Dunajca wie także o przypadku, kiedy w czasie rejsu jedna z pasażerek urodziła dziecko. Nie wiadomo jednak, czy wzorem linii lotniczych dziecko i rodzice mogli podróżować statkiem za darmo?...

Powroty do Polski też niosły ze sobą sporą dawkę adrenaliny. - Wiedzieliśmy już co nas czeka, ale mieliśmy ze sobą słodkie i wiele innych przedmiotów - wspominają moi rozmówcy. Na przechowywanie zielonych banknotów były różne sposoby. Już w mit obrosły wiadomości o tym, że górale przetrzymywali je w bieliznie. - Różnie to z tym bywało - śmieje się. - Trzeba było znaleźć taki sposób, aby udało się przejść przez kontrolę celną na nabrzeżu. Ja włożyłem banknoty do ciungi, czyli gumy do żucia. I udało się! - opowiada pan Andrzej. Pani Stefania dolary pochowała między ubrania. Miała ich cztery duże worki. Zaznacza, że celnicy interesowali się bardziej eleganckimi walizkami. Do jednego z worków schowała radiomagneton. - Chodziliśmy z nim potem po czarnodunajeckim rynku. Wielki szpan. Ale co z tego, jak po półgodzinnym graniu trzeba było zmieniać baterie. Musieliśmy mieć ich pełen koszyk - dziś śmieje się z tego nabytku Kazimierz Dzielski, syn pani Stefanii.

Takich podróży już nie ma!

Córka Andrzeja Knapczyka zapragnęła, aby tata przywiózł jej lalkę, która chodzi. - Bardzo się jej spodobała. Jak ją zobaczyła, nie przywitała się ze mną, tylko od razu zaczęła się nią bawić - wspomina pan Andrzej. Na Podhalu zawrotną karierę robiły chusty kobiece. - Zamiast dolarów posyłałyśmy do kraju po dwie - trzy chusty, które można było sprzedać za wiele większą sumę niż kosztowały w Ameryce - wspomina Kazimierz Dzielski. Dodaje, że nie opłacało się przysyłać dolarów, bo one zawsze ginęły.

Choć „Batory” i jego nowocześniejszy następca „Stefan Batory” nie zabierają już na pokład pasażerów z Podhala, to wspomnienia górali długo jeszcze będą „żywe”. - Tej podróży nie da się opowiedzieć, ją trzeba było przeżyć - śmieje się pani Stefania.

Obecnie do Ameryki można popłynąć z portów europejskich, ale cena za rejs jest kilkakrotnie wyższa niż lot samolotem. - Dziś nie ma już tylu wrażeń, co kiedyś. Wszystko odbywa się po cichutku. Nikt nikogo nie wita, nie żegna. Samolot leci tylko kilka godzin, a rejs trwał wiele dni.

Bartłomiej Stanek, Ciche

Praca nagrodzona w Ogólnopolskim Konkursie Dziennikarskim „O Laur Słupskich Kotwic” organizowanym przez Szkołę Podstawową nr 9 w Słupsku.

Jeszcze zanim wyruszyłam w podróż koleją do Genui, moi krewni, znajomi i koledzy z pracy gratulowali mi tego rejsu po Morzu Śródziemnym. Tyle naopowiadali mi o pięknym statku, na którym miałam popłynąć, że teraz sama chcę go zwiedzić, od pływalni aż po pokład słoneczny. Jeszcze przed wejściem na pokład próbowałam ogarnąć statek wzrokiem, ocenić jego rozmiary, policzyć bulaje w burcie; niestety, trud okazał się daremny...

Wędrując po pokładach i pomieszczeniach statku, jestem pod wrażeniem jego wielkości. Wszędzie jest jasno i przyjemnie; przez wielkie okna dolnego pokładu spacerowego słońce zagląda do wnętrza. Próżno szukać cichego zakątka, ale miejsca jest dość, i otoczenie piękne. To statek służący zabawie i radości. Samych sal tanecznych jest tu pięć, ponadto podium dla orkiestry i kino. Na ścianach wiszą obrazy - pejzaże i stroje ludowe z różnych stron kraju. Światło odbija się w szlachetnie obrobionym drewnie. Każde z pomieszczeń ma swój klimat i piękno. Oto palarnia, której ściany wyłożone są drewnem orzechowym. Wygodne sofy wokół małych stolików, tu i tam głęboki fotel, w którym można odpocząć po obiedzie. Patrząc na to wszystko ciekawym okiem architekta wnętrza.

Oto sala teatralna. Malowane ściany, wielkie okna z gobelinowymi zasłonami, parkiet do tańca, podium dla muzyków - wszędzie jasno, wesoło. Przechodzę do następnego pomieszczenia będąc jeszcze pod wrażeniem dopiero co obejrzanych wspaniałości. Jestem w wielkiej sali, podzielonej na cztery: oto sala strojów, ozdobiona strojami ludowymi ze wszystkich części kraju, namalowanymi na jasnym tle na ścianach. Oto łączniki po obu burtach, prowadzące do następnego pomieszczenia i urządzone, jak pokoje do pisania. Oto wielka sala, której charakter nadają plastyczne, żywe krajobrazy ojczyzny, wypełniające przestrzeń między oknami; jestem tu u siebie w domu, a przez okna otwiera się widok na morze.

Oto salon muzyczny, też z parkietem i z podium, ale nieco poważniejszy w tonacji wystroju. Na ścianach barwne reliefy z natury, niektóre szczególnie przykuwające uwagę. Kolejne pomieszczenie, również o ciemniejszej tonacji wystroju, zamyka wielką amfiladę od strony rufy. Stoją tu obszerne, wygodne fotele; można

Wycieczkowcem dookoła Włoch

Wchodzę na pokład statku około godziny szesnastej i otrzymuję miejsce w dwuosobowej kabine; moją towarzyszką jest niemal równolatka, pracownica poczty w jednym z większych miast w kraju. Zaraz po urządzeniu się w kabine, wyruszam na obchód statku.

stąd popatrzeć choćby na kipiący życiem pokład. Oto wreszcie pokłady - dwa spacerowe i po prostu wspaniały pokład słoneczny. Wędruję tak po całym statku od dołu do góry, co chwila przystając zdumiona, pod naporem wrażeń zapominam o bożym świecie. Tak, ten wycieczkowiec jest naprawdę statkiem marzeń.

Gong, wzywający pasażerów na kolację, sprowadza mnie z powrotem „na ziemię”. Śpieszę do jadalni. Należę do zmiany B, mam miejsce nr 8 przy podwójnym stole nr 54/55. Organizacyjnie wszystko na pokładzie zapięte jest na ostatni guzik, ale trudno, żeby było inaczej, kiedy obsługuje się z górą tysiąc czterysta osób.

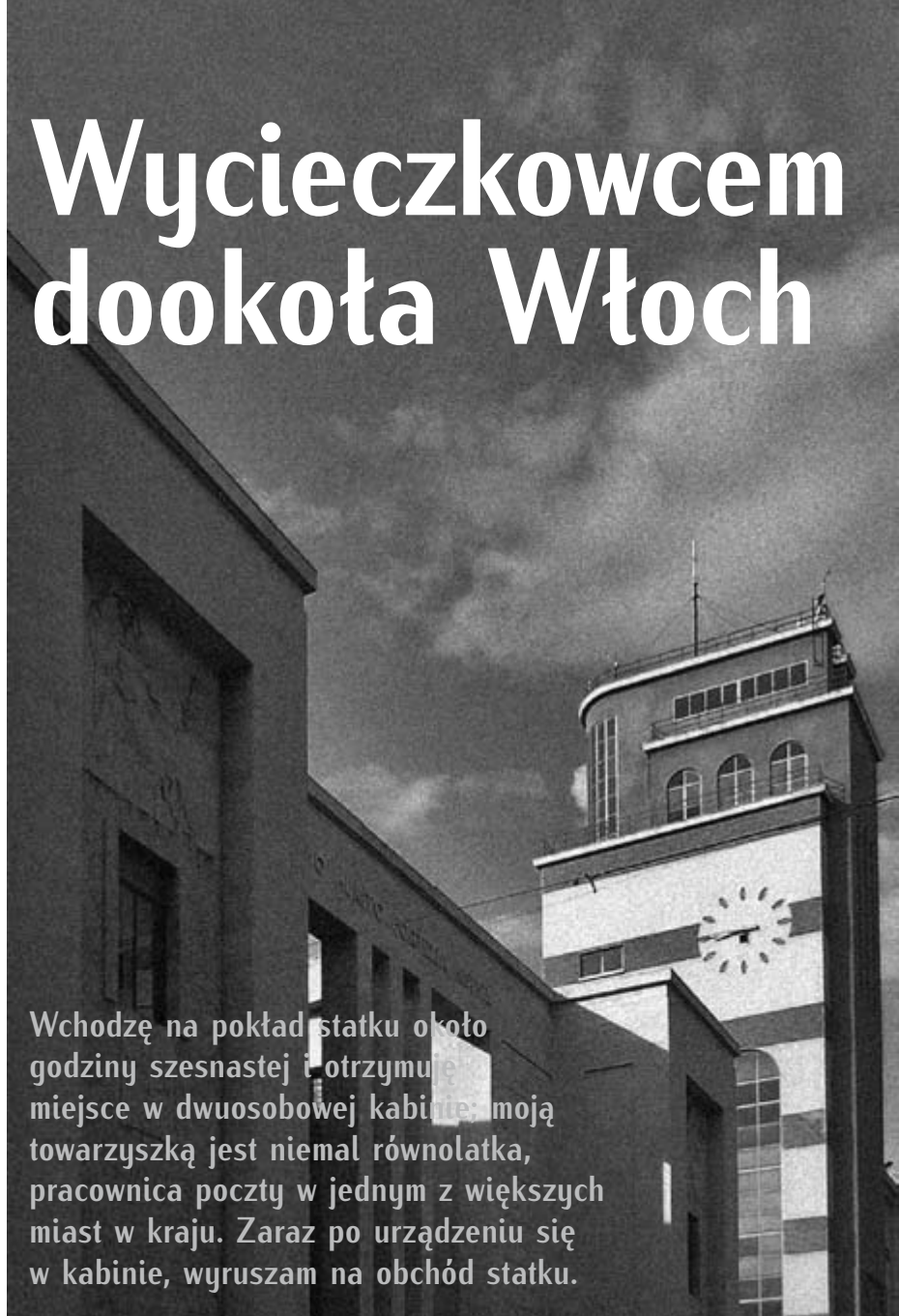
Po wspaniałej kolacji rozprawiamy przy naszym stole tylko o jednym: o tym, co nas czeka w tej podróży. Program dostaliśmy po jedzeniu, pora zatem mu się przyjrzeć. I tak na ju-

tro, to jest na 16 lutego po śniadaniu, zaplanowane jest zwiedzanie Genui i - dla chętnych - wycieczki autobusami do Rapallo i St. Margherita. Odjazd o ósmej rano sprzed Dworca Morskiego. Trzeba będzie wstać o szóstej, a śniadanie przewidziane jest na siódmą trzydzieści.

Spędzamy w Genui wspaniały dzień. Około siedemnastej na pokład wchodzą ostatni wycieczkowicze. Nasz wycieczkowiec oddaje cumy i wychodzimy w rejs do Neapolu.

O dwudziestej trzydzieści rozpoczynamy pierwszy taniec na pełnym morzu. Około dwudziestej trzeciej zamyka się bary, o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć przestaje grać orkiestra, od dwudziestej czwartej obowiązuje cisza nocna. Programu przestrzega się co do minuty!

Nadchodzi piątek, 17 lutego. Po porannej gimnastyce i śniadaniu, o



dziewiątej piętnaście zbieramy się na wielkim pokładzie słonecznym; jest tu miejsce dla wszystkich tysiąca czterystu pasażerów. Kapitan statku i kierownik rejsu witają nas i przedstawiają bliżej pierwszy cel - Neapol. Kto lubi i potrafi chodzić, ten może wziąć udział w stukilometrowym „Marszu Podróżników Dookoła Włoch” (a raczej wokół dolnego pokładu spacerowego), który zaczyna się od dziesiątej trzydzieści. Miłośnicy muzyki mogą posłuchać koncertu orkiestry okrętowej na górnym pokładzie spacerowym. Po obiedzie, o trzynastej piętnaście oficer prasowy statku wygłasza w sali balowej odczyt o Włoszech, Neapolu i Palermo. O siedemnastej orkiestra motorowca daje kolejny koncert, tym razem w salonie muzycznym. Dzień kończy się muzyką i tańcami we wszystkich salach statku.

W sobotę, 18 lutego o siódmej rano wchodzimy do Neapolu. Od wpół do ósmej czasu pokładowego można zejść na ląd. O ósmej wyjeżdżamy na wycieczkę do Pompejów: parę godzin pełnych wrażeń.

Statek pozostaje w Neapolu również w niedzielę, 19 lutego. W planie jest całonocna wycieczka do Ischii. Około piątej po południu wracamy zachwyceni na pokład, a wieczorem nasz statek opuszcza Neapol. Następnym portem będzie Palermo na Sycylii.

Wpływamy tam o siódmej trzydzieści w poniedziałek, 20 lutego. Od ósmej można schodzić na ląd. O dziewiątej wyruszamy wojskowymi samochodami do Monreale, po czym wracamy na Piazza Vittorio w Palermo, gdzie czekają już przewodnicy, by oprowadzić nas po mieście. O piętnastej czterdzieści pięć jesteśmy z powrotem na pokładzie, a o siedemnastej trzydzieści opuszczamy Palermo, biorąc kurs na Wenecję. Szkoda, że nasz pobyt tutaj trwał ledwie jeden dzień.

Pobudka we wtorek, 21 lutego rozbrzmiewa wcześniej, niż zwykle: o szóstej piętnaście mijamy wulkan Stromboli. Widok zaiste nie do pogardzenia. Nie tylko ten - warto pozostać na pokładzie, bo już o dziesiątej dwadzieścia mijamy lewą burtą Cap dell'Armi. Pogoda nie jest, niestety, najlepsza - niebo zachmurzone, a na morzu niewielka fala.

Tymczasem życie na pokładzie wycieczkowca kipi niemal we wszystkich pomieszczeniach. Już o dziewiątej w sali balowej nasz oficer prasowy podsumowuje w kolejnym odczycie

wyprawę do Genui i Palermo. O dziesiątej trzydzieści „Podróżnicy Dookoła Włoch” ruszają w dalszą drogę wokół dolnego pokładu spacerowego. Orkiestra po raz kolejny daje koncert na pokładzie słonecznym, a o trzynastej piętnaście słuchamy jednego z licznych odczytów.

O siedemnastej w salonie muzycznym wędrujemy „Z piosenką przez kraj”, a prowadzi nas radiowy zespół muzyczny. Potem, od dwudziestej trzydzieści, na statku zaczyna się wielki Bal Przebierańców. Cisza nocna zapada wyjątkowo dopiero o pierwszej w nocy.

Również środa, 22 lutego, wypełniona jest różnymi atrakcjami, więc nikt na pokładzie się nie nudzi. Około dziesiątej piętnaście tłum pasażerów obserwuje z pokładu mijaną wyspę Korfu; o jedenastej pięćdziesiąt mijamy Kanał Północny. O dziewiątej w planie jest kolejny odczyt. O dziesiątej trzydzieści następuje uroczyste zakończenie naszej pokładowej Olimpiady Pełnomorskiej - stukilometrowego marszu wokół dolnego pokładu spacerowego, połączone z dekoracją zwycięzców i rozdaniem nagród. O trzynastej piętnaście oficer prasowy przedstawia nam bliżej statek. Impreza w salonie muzycznym, z towarzyszeniem zespołu instrumentalnego, przebiega od siedemnastej pod ogólnym hasłem „Zapraszamy do zabawy - śmiech i śpiew to zdrowie”. Na zakończenie dnia, od dwudziestej trzydzieści w salonie muzycznym rozpoczyna się „Wieczór włoski” z udziałem dwójga solistów i orkiestry naszego statku. Pokładowa rozgłośnia transmituje cały koncert do sali balowej oraz do kilku innych pomieszczeń dziennych. Od dwudziestej drugiej we wszystkich salach statku rozpoczyna się wieczór tańca.

Nasza podróż „Dookoła Włoch” zbliża się powoli do końca. Jest czwartek, 23 lutego, i czas pomyśleć o pożegnaniu gościnnego statku. Na razie jednak wciąż płyniemy do Wenecji, o dziesiątej czterdzieści pięć mijamy Lissę, później po prawej burcie wylania się wybrzeże Dalmacji.

O ósmej trzydzieści rozgłośnia pokładowa informuje o szczegółach zejścia na ląd w Wenecji, o dziewiątej zespół muzyczny, uczestniczący w rejsie, zaprasza na wspólne śpiewanie; wszyscy bawią się dobrze. O trzynastej piętnaście oficer prasowy odpowiada w kolejnym odczycie na liczne

pytania, po czym aż do piętnastej trzydzieści na pokładzie zapada spokój.

O szesnastej trzydzieści na pokładzie spacerowym statku zaczynają zbierać się wszyscy wycieczkowicze. Kierownictwo statku i rejsu żegna swoich 1400 pasażerów. Wszyscy jesteśmy pełni wrażeń i choć nieco zmęczeni - chętnie wyruszylibyśmy w taki rejs raz jeszcze!...

O siedemnastej trzydzieści oficer prasowy wygłasza w sali balowej odczyt o Wenecji - w ten sposób poznajemy ostatni już port na kursie, a od ósmej wieczorem w salonie muzycznym zaczyna się „Koncert życzeń”. Po koncercie wieczór taneczny.

Krótko po siódmej rano w piątek, 24 lutego wchodzimy do Wenecji. Przed zejściem na ląd zostajemy podzieleni na dwie grupy. Pierwsza, licząca osiemset osób, płynie wielką motorówką do Placu Św. Marka. Po zejściu na ląd wycieczkowicze udają się spacerkiem na Most Rialto. Wracają stamtąd o dziesiątej czterdzieści pięć siedmioma miejscowymi Vaporetti do Placu Św. Marka.

Druga grupa, licząca sześćset osób, płynie siedmioma Vaporetti do Mostu Rialto i wraca stamtąd spacerkiem na Plac.

O piętnastej na placu Św. Marka następuje spotkanie wszystkich tysiąca czterystu pasażerów statku. Wracamy trzema wielkimi motorówkami na pokład. Ach, wdychamy, cóż to był za dzień!

O czwartej po południu spotykamy się przy kawie - już bez przestrzegania okrętowej rutyny: teraz ci, którzy poznali się w czasie tego rejsu bliżej, mogą usiąść razem, powymieniać adresy, uporządkować wspomnienia. O siedemnastej trzydzieści w Ogrodzie Zimowym zaczyna się wymiana pieniędzy. Wieczorem, od wpół do dziewiątej, na pokładzie znów gra orkiestra, ale większość wycieczkowiczów zajęta jest pakowaniem swoich waliz. O dwudziestej trzeciej na wszystkich pokładach statku zapada cisza - po raz ostatni zasypiamy na naszym wycieczkowcu, na którym spędziliśmy dziesięć wspaniałych dni.

Opracował:

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk
Czytelnicy, którzy odgadną, na jakim statku płynęła pasażerka i odpowiedź prześlą pocztą lub drogą meilową do naszej reakcji, otrzymają wartościowe nagrody książkowe. (z)



Fot. wikipedia.org

Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym. A jest to największe muzeum w mieście, posiadające grubo ponad 260 tysięcy katalogowych pozycji. Placówka znajduje się w centrum Łodzi, przy Placu Wolności 14. Wkrótce obchodzić będzie okrągłą rocznicę - 100-lecia powstania, bowiem jednostkę muzealną, o nazwie - Muzeum Miejskie, powołano do życia u zarania II Rzeczypospolitej, w 1918 roku. Gromadzono tam wówczas najrozmaitsze kolekcje. Instytucja ta, na przestrzeni lat, wielokrotnie zmieniała lokalizację, by na przełomie roku 1949/1950 jako Miejskie Muzeum Prehistoryczne i Miejskie Muzeum Etnograficzne, już jako państwowe, otrzymać nazwę: Muzeum Archeologiczne i Muzeum Etnograficzne

Dodam, iż tu do 1956 roku, niezależnie działał Gabinet Numizmatyczny (w ramach działalności Muzeum Archeologicznego). W 1956 roku wszystkie muzealne jednostki połączono w jedną o nazwie: Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. W skład jego wchodzi: Zespół Działów Archeologicznych, Zespół Działów Etnograficznych, Działy: Numizmatyczny, Widowisk Lalkowych, Konserwacji i Badań nad Zabytkami, Naukowo-Oświatowy. Znajduje się tam również bogata w zbiory biblioteka. Całością włada prof. dr hab. Ryszard Grygiel, od 1991 roku pełniący funkcję dyrektora tej placówki. Profesor jest archeologiem, wieloletnim pracownikiem (od 40 lat!) tego muzeum. Za osiągnięcia na polu nauki uzyskał honorowe obywatelstwa: miasta Łęczycy oraz gminy Brześć Kujawski. Pozostała kadra muzeum reprezentuje również wysoki poziom, o czym świadczy renoma tej instytucji.

Natomiast budynek, w którym znajduje się muzeum, posiada historię sięgającą XIX wieku. Wtedy, w jego pierwotnym kształcie, w latach czterdziestych, z inicjatywy łódzkich fabrykantów, funkcjonował jako budynek szkolny. Następnie wielokrotnie przebudowywany, sam stał się zabytkiem, usytuowany w centrum aglomeracji, świadczy o wspaniałej historii przemysłowej Łodzi.

Dzisiaj Zespoły Działowe muzeum współpracują z całą Europą, na przykład Dział Widowisk Lalkowych, utworzony w 1980 roku jest jedynym miejscem w Polsce, gdzie gromadzi się scenografię teatrów lalkowych. To tu znajdują się projekty scenograficzne,

Łódzki suplement

W artykule „Łódzkie klimaty” mnie zabrakło jednego: „peretki” środka Łodzi, czyli „historii o historii”, a mianowicie - odrobiny o Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym.

Wbiuletynie pt. „Powiat Słupski” (nr 7-8, lipiec-sierpień, 2015) znajdujemy dość obszerną, ciekawą informację o kształtującym się nowym obliczu, drugiego pod względem wielkości w kraju, miasta Łodzi. Artykuł nosi znamieny tytuł: „Łódzkie klimaty”. Współczesna relacja z tego miejsca, prawie środka Polski, a niemalże i Europy, w okresie wewnętrznej integracji Unii Europejskiej, jest chyba na czasie. „Miasto Łódź poszukuje nowej tożsamości, łączy swoją bogatą przeszłość z budowaniem przyszłości.” Tak oto wszelakie zmiany zachodzące w czasoprzestrzeni miasta puentuje znany erudyta, autor wielu publikacji - Włodzimierz Lipczyński.

Łódź wielu moim rozmówcom kojarzy się niezbyt ciekawie. Stwierdzenia są zgoła takie, iż miasto jest nudne, szare, a nawet brudne. Określenia te, prawdopodobnie wynikają z różnych uprzedzeń, stereotypów lub własnych, nieciekawych doświadczeń, chociażby estetycznych. Jeżeli tak się sądzi, pozostaje zawsze w tym ziarno prawdy.

Elokwencja autora powoduje, iż tekst o nietatwej materii (obszar, ogromna różnorodność tematyczna) do zobrazowania Czytelnikowi staro-nowego oblicza Łodzi, nawet niechętnych temu tematowi, prowokuje do przeczytania. Mnie zabrakło jednego: „peretki” środka Łodzi, czyli „historii o historii”, a mianowicie - odrobiny o

szkice, dekoracje, dzieła plastyczne i obiekty autorskie. Zgromadzono tysiące dokumentów archiwalnych: programy teatralne, plakaty, negatywy, zdjęcia przedstawień polskiego teatru lalek od 1945 roku!

Zabytki Działu Widowisk Lalkowych wystawiane były na wielu ekspozycjach w Polsce i w Europie; warto tu wymienić chociażby „Galerię Scenografów Polskiego Teatru Lalek”, prezentującą twórczość znanych artystów. Nie trzeba dodawać, iż głównymi odbiorcami tej sztuki są dzieci. Powyższy dział, w tej dziedzinie wiedzy, aktywnie uczestniczy w pracach naukowych, oświatowych, wydawniczych oraz warsztatowo-poznawczych. Warto też zauważyć, iż między innymi, znajdują się tam rekwizyty z Teatru Lalki „Tęcza” ze Słupska, na przykład sztuki pt. „Panienka z okienka” - Jadwigi Łuszczewskiej, w reżyserii Zofii Miklińskiej, do scenografii Ali Bunch. Autor niniejszej publikacji, posiadający nadaną mu odznakę „Przyjaciel Dziecka”, nie mógł o tym nie napisać.

Dla aktywnych twórczo bardzo pomocny jest Dział Naukowo-Oświatowy. Zainteresowana archeologią młodzież może tu korzystać, w określonych godzinach, w ramach tzw. wolnego wstępu, z wykładów i pogadanek prowadzonych przez fachowy personel placówki, na przykład o historii bursztynowego szlaku. Jest tu też miejsce dla poszukujących wiadomości w zakresie etnografii - na przykład o kulturze ludowej i jej zróżnicowaniach regionalnych, zawodzie rolnika, w zakresie etnografii pozaeuropejskiej - na przykład o Indianach Ameryki Północnej. Można także wysłuchać ciekawych tematycznie odczytów o polskiej architekturze ludowej, ginących zawodach, żydowskich obrzędach świątecznych, „Całunie Turyńskim”, siedmiu cudach świata starożytnego i wielu, wielu innych.

Tym, którzy nie planują „wypadu” do łódzkiego muzeum, polecam jego liczne publikacje książkowe oraz stałe, wielodziałowe czasopismo „Prace i Materiały Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi” (serię archeologiczną, etnograficzną i numizmatyczno-konserwatorską).

Piotr Wiktor Grygiel, Jasień

Czy można wyjść i nie zapłacić?

Czy zamówiony w restauracji posiłek ma prawo nam nie smakować? Oczywiście, ale nie wszyscy znajdują w sobie tyle siły, aby coś z tym zrobić.



Fot. J. Roujan / wikipedia.org

Nie chcemy robić kłopotu obsłudze, przyszliśmy do restauracji aby miło spędzić czas, a nie się wyklócać, a poza tym obiad nie jest „aż tak zły”. To błędne myślenie, trzeba głośno mówić o tym, że zupa przesolona, surowy befsztyk, niedogotowane ziemniaki, rozpuszczone lody i ciepła wódka, ale czy po takim ugoszczeniu można wyjść z restauracji, nie płacąc? A co, jeśli kelner podał nam brudne sztucce, danie dotarło po godzinie i zimne, obrus dawno powinien być w pralce, a i sam kelner zdaje się stronić od mydła?

Komu nie zdarzyło się choć raz wejść do restauracji, której pozornie dobre wrażenie rozwiewało się na tyle wolno, że na decyzję o salwowaniu się ucieczką było już stanowczo za późno? Oto kelner podał już danie, pożyczyl smacznego i poszedł. Te kilka martwych much na parapecie,

te kilka plamek na obrusie i ów wyszczerbiony widelec - skoro wokół tyle zajętych stolików i ludzie jedzą, można przymknąć oko. Jednak coraz częściej kelnerzy podchodzą do klientów na początku jedzenia i pytają, czy wszystko jest w porządku. To właśnie ten moment, kiedy powinniśmy mówić o ewentualnych problemach. Branża nie jest jednorodna i pracują w niej różni ludzie. Niektórym zależy tylko na zysku, ale rynek zmienia się na tyle, że niemal wszędzie powinni nam wymienić posiłek, reklamowany na początku jedzenia. Niestety, większość naszej społeczności restauracje zna głównie ze styp i komunii, podczas których niezmaczone najdrobniejszym komentarzem obżeranie się odsmażanymi kotletami i podśmierdłymi dewolajami stało się już niemalże tradycją. W polskiej kulturze nie wypada przecież

krytykować gospodarza, zwłaszcza jeśli ten od samego początku biesiady ochoczo polewa gościom wódkę. A że swój do swego ciągnie, może się zdarzyć, że w delegacji czy na urlopie trafimy do knajpy zaludnianej przez tych, którzy mają gdzieś to, co jedzą, o ile jest piwo - dobre piwo, czyli tanie i z ekstrawoltem, czyli mocne. W takich okolicznościach nietrudno o chrupiące w zębach ziemniaki, żeberka, tak suche, twarde i przypalone, które pogryźć mogą wyłącz-

Jeśli nie uda nam się załatwić sprawy od ręki poprzez ustne zgłoszenie, to należy sporządzić dokument, w którym opiszemy, co nie podobało nam się w danym posiłku i zażądać zwrotu pieniędzy. Ale co w sytuacji, gdy jeszcze nie zapłaciliśmy za posiłek? Czy możemy go porzucić i opuścić restaurację? Ostentacyjne wychodzenie z restauracji bez uregulowania rachunku, wdawanie się w pyskówki z obsługą, a w szczególności wszczynanie burd jest niewskazane.

którą może zerwać bez konsekwencji, jeśli restaurator z tej umowy się nie wywiąże. Oznacza to, że restaurator nie może żądać zapłaty za usługę, którą wykonał niewłaściwie, a gość ma prawo za taką niewłaściwie wykonaną usługę nie zapłacić. Warunkiem jest wyraźne i bezzwłoczne zgłoszenie swoich uwag obsłudze oraz stosowne udokumentowanie uchybienia. Reklamuje się zawsze okoliczności obiektywne, czyli na przykład brudny talerz albo skwarki w wegetariańskich potrawach, a nie subiektywne wrażenia smakowe - tych restaurator nie musi uwzględnić.

Jeśli gość zgłasza reklamację i wskazuje na konkretne fakty, a obsługa nic sobie z takiego zgłoszenia nie robi, wówczas należy sporządzić reklamację na piśmie i przesłać ją do właściciela restauracji, który ma obowiązek odnieść się do niej w czasie do dwóch tygodni. Jeśli się nie odniesie, oznacza to, że reklamację przyjął, a gość ma prawo oczekiwać stosownego zadośćuczynienia. Jeśli takie mimo wszystko nie nastąpi, gość może zgłosić sprawę do Rzecznika Konsumentów, oddziału Federacji Konsumentów albo do Polubownego Sądu Konsumentckiego. Inaczej rzecz się ma, jeśli wizyta w restauracji skończy się rozstrojem żołądka albo poważniejszym zatruciem - wówczas sprawę zgłasza się od razu do Sanepidu.

Warto przy tym pamiętać, że prawo do złożenia reklamacji mają także organizatorzy poczęstunków zbiorowych, także tych zakrapianych styp i komunii, których uczestnicy o podłej gościnie rozpowiadają sąsiadom kilka dni po imprezie, kiedy to klauzula kurtuazji staje się w ich mniemaniu mniej wiążąca. Jednak wszelkie zastrzeżenia należy zgłaszać obsłudze bezzwłocznie, a jeśli sprawa jest poważna, żądać natychmiastowego kontaktu z właścicielem.

Na zakończenie ciekawostka. Pewna kelnerka z Polski, która przez kilka lat pracowała we włoskiej restauracji w Millburn w stanie New Jersey, mówi, że ona nigdy nie oddałaby zamówionego jedzenia, bo by się wstydziła. Natomiast Amerykanie oddają prawie puste talerze. Mieszkańcy Stanów oddają jedzenie bardzo często, a w wielu miejscach dostają jeszcze drugą porcję za darmo, w ramach przeprosin.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik Konsumentów

nie posiadacze tytanowych podniebień. I dopiero, gdy gorąca szarlotka okazuje się zimna, a towarzysząca jej kupka lodów ordynarnie rozlewa się po talerzyku, zaczynamy zwracać baczniejszą uwagę na ten lekko zaplamiony obrus, ów zagadkowy karminowy ślad na brzegu szklanki i muchy na parapecie okna. Chcemy już tylko wyjść, więc płacimy w pośpiechu i milczeniem zbywamy zapytanie kelnera: czy smakowało? To błąd, bo jeśli zapłacimy i wyjdziemy, to stracimy pieniądze, które moglibyśmy ocalić, składając reklamację w stosownym czasie.

Nie ma prawnych uregulowań, które odpowiadałyby na pytanie, kiedy można oddać jedzenie niespełniające naszych oczekiwań. Zwyczajowo jednak przyjmuje się, że kilka kęśów posiłku uprawnia do tego, aby wymienić posiłek na inny. Jeżeli jednak zjemy i stwierdzimy, że nam nie smakowało w związku z czym nie zamierzamy zapłacić, to niestety jest już późno.

To nie tylko nie rozwiąże problemu, ale może go jeszcze powiększyć. Jeśli restaurator jest oszustem na tyle przebiegłym, że pozwala sobie na brud na sali i raczenie gości byle czym, to pewnie skorzysta też z pomocy płatnej ochrony albo po prostu zadzwoni po policję.

Jak zatem najlepiej postąpić w takiej sytuacji? Po pierwsze warto bacznie analizować pierwsze wrażenia z restauracji. Jeśli na stole rzeczywiście leży brudny obrus, a na kieliszku widnieje odcisk obcej szminki, czy nie lepiej od razu wyjść? Można oczywiście zażądać od kelnera zmiany nakrycia, a ten powinien błyskawicznie naprawić uchybienie, bo zgodnie z przepisami ustawy o prawach konsumenta taki ma obowiązek. Przepisy tej ustawy mają zastosowanie nie tylko w szeroko pojętym handlu detalicznym, ale też w gastronomii i to zarówno w eleganckich restauracjach, jak i w prowincjonalnych pizzeriach i plażowych barach. Składając zamówienie, gość zawiera z restauratorem umowę,



Fot. Usien / wikipedia.org



PODSUMOWANIE
XVII POWIATOWEJ
OLIMPIADY DZIECI
I MŁODZIEŻY
SŁUPSK, CZERWIEC 2016



